

TYGODNIK ILLUSTROWANY



PORTRET CÓRKI ARTYSTY
Z V Salonu dorocznego

LEOPOLD HOROWITZ

HENRYK MOŚCICKI:

Zagadka losów Łukasińskiego.*)

Lat z górą czterdzieści żył od świata całego odcięty! Wilgotne mury więziennych kazamat pogrzebały tego człowieka, by nigdy, aż do śmierci, ujrzeć nie mógł rodzinnych swych pól, ni ojczystej słyszeć mowy. „Pamięci ziomek coraz niewidomszy”, w półwiekowej samotnej trwał męce. Co przeżył, co przecierpiał? Jakie uczucia nurtowały w tem biednym sercu, jakie myśli szarpały mózg tego nieszczęśliwego skazańca? I za co cierpiał, jakież były jego winy? Czemuż z tym człowiekiem obesli się z taką surowością, czemuż o nim jednym pamiętano w listopadowe dni 1830 r., podczas tak straszliwej zawieruchy, aby zabrać go z Warszawy; czemuż go lat tyle trzymano w więzieniu, i to w najokropniejszych warunkach, nie tylko za życia Aleksandra I, ale przez całe panowanie Mikołaja I i jeszcze po tegoż śmierci za Aleksandra II, po stłumieniu już i rewolucji listopadowej, i powstania styczniowego, aż prawie do naszych czasów? Czemuż, kiedy inni, ze stanowiska rządowego nierównie winniejsi ludzie, jak np. Dekabryści, odzyskali wolność, a Łukasiński po nich wszystkich jeszcze był trzymany aż do zgonu?

Prof. Askenazy w swem znakomitem dziele nie dotyka napozór tej nadzwyczaj ciekawej kwestyi, w rzeczywistości jednak nie przestaje się nią zajmować od początku do końca i daje jej rozwiązanie.

Rzecz w tem, że, jak wykazuje prof. Askenazy, punkt wyjścia związków tajnych, rosyjskich i polskich, spoczywał pierwotnie w ręku Aleksandra I. „Aleksander I-szy — wyraża się autor, przechodząc kolejno stosunek cesarza do tajnych związków w Rosyi, Polsce, a nawet zagranicą, w Niemczech, Francyi, Włoszech — był największym konspiratorem czasów swoich”. Związki tajne zagranicą miały mu dopomóc w polityce europejskiej, także stowarzyszenia rosyjskie — w jego pierwotnych pomysłach liberalnych, dotyczących nadania konstytucyi i uwłaszczenia włościan, zaś związki polskie — w jego początkowych zamiarach podjęcia na nowo sprawy polskiej, uzupełnienia okrojonych uchwał Kongresu wiedeńskiego, t. j. wcielenia Litwy do Królestwa, a nawet ewentualnego odebrania Poznańskiego i przyłączenia Galicji. Pierwotna tajna akcja Łukasińskiego, pod nazwą Wolnomularstwa Narodowego, biegła równolegle do takich intencji cesarza, korzystała z podniety niektórych figur rządowych, np. gen. Roźnieckiego, była wiadomą W. Księciu Konstantemu i samemu Aleksandrowi I-mu. Biust cesarza rosyjskiego w lożach Wolnomularstwa Narodowego, otwieranych w Poznańskim, był dobitnym

wyrazem tych intencji, kierujących się przede wszystkim przeciwko ościennemu mocarstwu. Tym sposobem Waleryan Łukasiński, jako twórca Wolnomularstwa Narodowego i późniejszy faktyczny kierownik Towarzystwa Patryotycznego, stawał się posiadaczem tajemnicy politycznej, mającej niezmiernie doniosłą i zarazem nadzwyczaj drażliwą stronę ze względu na politykę zagraniczną rosyjską w stosunku do dwóch innych państw rozbiorowych: Prus i Austrii.

Kiedy, w następstwie, intencje cesarza Aleksandra I-go uległy radykalnej zmianie, kiedy, rzuciwszy się w ramiona reakcji, wyparł się on swoich pierwotnych liberalnych dążeń wogóle, a dążeń odnowicielskich polskich w szczególności, zupełnie pogrzebanie tamtego sekretu, zachowanie najściślejszej w tych sprawach tajemnicy stawało się oczywiście kwestyą polityczną najpierwszej wagi. Dość byłoby wyobrazić sobie Łuka-



Dom przy ulicy Przyrynek Nr 4, w którym mieszkał Łukasiński.

sińskiego, gdyby kiedykolwiek, odzyskawszy wolność, choćby po kilkudziesięciu latach, czy to za Mikołaja I-go, czy nawet jeszcze za Aleksandra II-go, mógł odstąpić, jakimi drogami konspiracyjnymi chodziła myśl Aleksandra I-go, skierowana w sprawie polskiej przeciwko Prusom i Austrii. Tym sposobem, podczas gdy sprawa takich np. Dekabrystów była sprawą czysto wewnętrzną rosyjską, sprawa Łukasińskiego dotykała jednej z najdrażliwszych stron polityki zagranicznej rosyjskiej. I dlatego usta jego musiały zostać zakneblowane aż do zgonu.

Cała ta niezmiernie ważna i wysoce interesująca strona sprawy Łukasińskiego dała się odbudować jedynie sposobem nader skomplikowanych, wielce pracowitych studyów i poszukiwań, oraz misternych zestawień i wnioskowania. W rzeczach tej natury najgłówniejsze, najpoufniejsze czynności odbywały się w drodze ustnej, nie zostawiając żadnego pisemnego śladu, albo też zaledwo ułamkowo (tak np. rzecz się ma z uczestnictwem gen. Roźnieckiego). Dlatego też profesor Askenazy, w myśl ścisłych wymagań metodyki historycznej, powstrzy-

mał się od pozytywnego sformułowania powyższych konkluzji, ale całą swoją, po mistrzowsku skonstruowaną wykładnią, zmierzającą do tych wniosków, pozwolił czytelnikowi uświadomić je sobie i znaleźć w nich jedyne rozwiązanie zagadki losów Łukasińskiego.

* * *

W książce Askenazego ujrzenie nie tylko Łukasińskiego dramat życiowy. Imię szlisselburskiego skazańca to symbol dziejów całych pokoleń, targających się ze swem przeznaczeniem w nierównej walce z historycznym fatum.

Niezrównana plastyka opowieści, dotykającej niejednokrotnie spraw najkapitałniejszej wagi, po dziś dzień nie pozbawionych głębszego znaczenia politycznego, wreszcie bogactwo szczegółów, zlewających się w jeden syntetyczny obraz, szarpiący każdym fibrem duszy czytelnika — taką jest książka o Waleryanie Łukasińskim.

B2

SZYMON ASKENAZY:

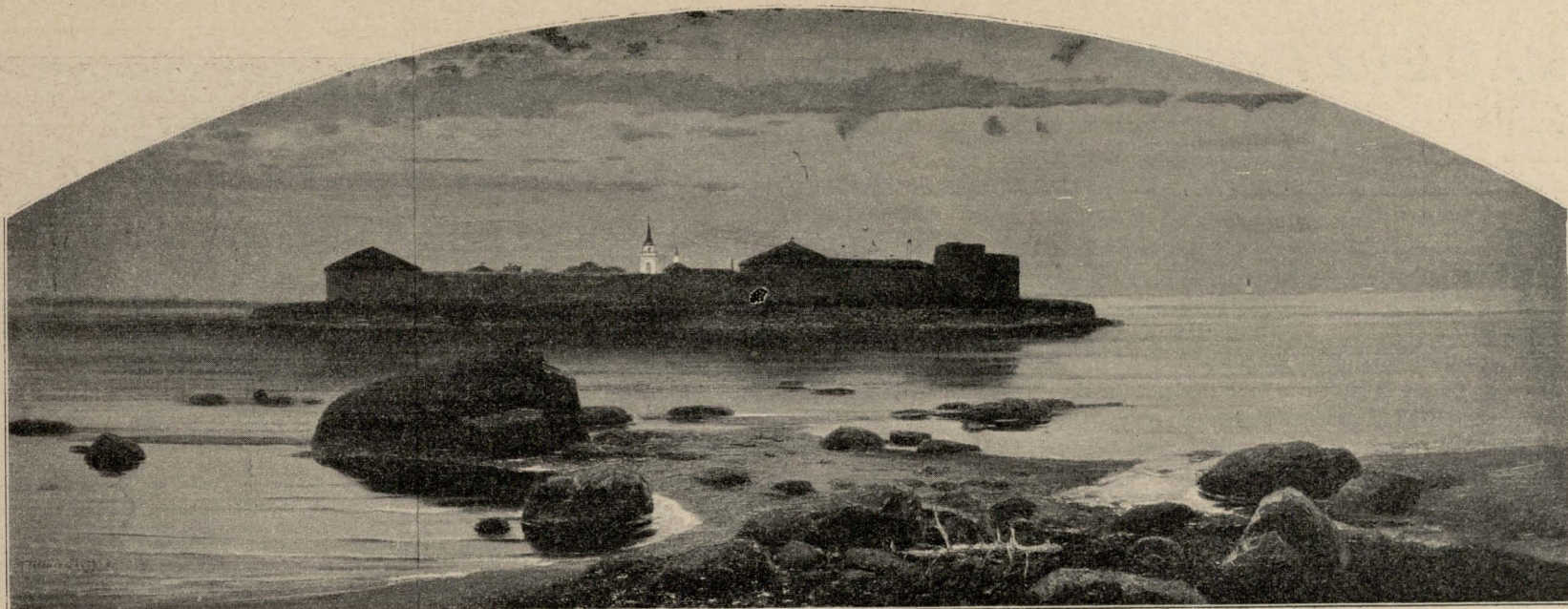
„Łukasiński”.*)

DEGRADACYA.

Równocześnie z wypuszczeniem trzech nieszczęśliwych uwolnionych, nastąpiła egzekucja publiczna trzech nieszczęśliwych skazańców: Łukasińskiego, Dobrogoyskiego, Dobrzyckiego. Konfirmacja monarsza była im odczytaną poprzedniego dnia w więzieniu karmelickim, przez majora placu Aksamitowskiego, lecz czekające ich pohańbienie publiczne zachowano przed nimi w tajemnicy aż do ostatniej chwili, dla uniknięcia aktu rozpaczliwego, zamachu samobójczego. Nazajutrz zrana (2-go października 1824 roku) ubrano ich w mundury oficerskie, ozdobione posiadaniem oznakami honorowymi, gdyż i Dobrogoyski i Dobrzycki, choć dymisjonowani, byli zachowali prawo noszenia mundurów, i w odkrytym furgonie wojskowym, pod silną eskortą żandarmów konnych zawieziono do obozu za rogatkami powązkowskimi. Tutaj stały w wielkim czworoboku odkomenderowane do tego ponurego obrzędu, stosownie do wyraźnego rozkazu W. Księcia, z całego garnizonu warszawskiego oddziały wojsk polskich i rosyjskich: pełne pułki czwartu, siódmy, piąty i pierwszy piechoty liniowej, batalion saperów, pułk czwartu ułanów, detaszmenty gwardyi, piechoty i jazdy. Dokoła cisnęły się czarne, milczące tłumy zgromadzonego ludu. Więźniów wprowadzono w sam środek czworoboku, ustawiono szeregiem w odstępach, przy każdym stanęło po dwóch żandarmów z dobytym pałaszem. Wojska sprezentowały broń; audytor podniesionym głosem odczytał wyrok, konfirmowany przez Najjaśniejszego Pana. Uderzono w bębny. Człowiek wysoki, barczysty, czarno ubrany, kat stołeczny główny, przystąpił do skazańców, poczynając od Łukasińskiego, zerwał im szlify i oznaki, złamał szpadę nad głową; pomocnicy kata zdarli im mundury, ubrali ich w szare kitle więzienne i zgolili głowy; posadzono ich na ziemi i zaraz kowale okuli ich na butach, w przygotowane kajdany, wagi 22

*) Powyższe urywki zacytujemy ze świeżo wydanego 2-go tomu dzieła prof. Sz. Askenazego p. t. „Łukasiński”.

*) Szymon Askenazy. „Łukasiński”. Tom II. Warszawa, 1908. Nakład księgarni p. f. E. Wende i S-ka. Lwów, H. Altenberg. Patrz *Tygodnik Ilustrowany* Nr 43 z r. 1908.



SZLISSELBURG.

funtów, poczem dano im w ręce taczki i przy ciągłem ogłuszającym biciu w bębny kazano przejść przed frontem wojsk. Nikt nie odzywał się słowem, tłum z zapartym patrzył się oddechem, wojsko stało nieporuszone, lecz po twarzy wielu oficerów i szeregowców, a jak wyraźnie stwardza Dobrzycki, również i Rosyan, ściekały łzy. Łukasiński szedł pierwszy, nogi płątały mu się w kajdanach, wpijających się w długie, twarde, aleksandryjskie bofforty, był bardzo blady, ale pchał mocno taczki przed siebie, z głową podniesioną, wzrokiem wlepionym w linię frontową wojska, mijał ją, patrząc się prosto w oczy dowódcom i żołnierzom. Natychmiast po tym okropnym obrzędzie porwano go, tak jak stał, wsadzono z dwoma towarzyszymi na furgony i pod osłoną żandarmów wywieziono do Zamościa, gdzie mieli karę odsiedzieć. Tu przekuto go nazajutrz po przybyciu w nowe kajdany na nagiem ciele; była to ulga, bo od łańcuchów na butach porobiły się rany w żywym mięsie. Dotychczas, choć w więzieniu śledczym, był oficerem, obywatel, człowiekiem; odtąd być nim przestał. Rozpoczął kaźń.

SZLISSELBURG.

...Po przybyciu Łukasińskiego do Szlisselburga w styczniu 1831 r. przedsięwzięto nadzwyczajne środki ostrożności i zastosowano do niego najsurowszą, nawet tutaj względem nikogo innego nie praktykowaną już wtedy formę zamknięcia. Umieszczono go mianowicie w podziemiu t. zw. „Sekretnego Zamku”. Tak nazywała się starożytna masywna wieża, datująca się jeszcze z czasów szwedzkich, położona w pośrodku twierdzy szlisselburskiej, dziś zwana basztą Świetliczą i poczęści zabudowana, a już wówczas nigdy prawie nie używana, opustoszała zwykle i szczelnie zamknięta. Sekretny Zamek, otwierany niechętnie, gdyż zbyt ponure po nim tułaty się widma, obejmował trzy kondygnacje kazamatowe. W kamiennej kazamacie górnej trzymaną była ongi carowa Eudoksyja; w dolnej męczył się i zginął car Iwan; a jeszcze niżej mieściła się kazamata podziemna, dość obszerna, a bardzo niska, przytłoczona granitowym sklepieniem, na ubitej gołej ziemi, mroczna, chłodna, cmentarnie zaciszna: tutaj zamknięty, pogrzebany został Łukasiński. Trzymając się najściślej cesarskiego nakazu, odcięto go zupełnie od świata i ludzi. Pilnującym go żołnierzom wzbroniono najsurowiej wszelkiej z nim rozmowy, w milczeniu podawano mu

strawę, a w wypadkach koniecznej potrzeby wejścia do jego lochu nie inaczej jak w kilku razem wpuszczano tam strażników. Spowiednika, o którego wielokrotnie prosił, odmówiono. W Szlisselburgu siedział równocześnie, aż do 1834 r., jedyny jeszcze więzień katolik, dekabrysta Józef Poggio, którego, na jego prośbę, za specjalnem zezwoleniem cesarskiem, odwiedzał kilkakrotnie kapelan katolicki kościoła św. Katarzyny w Petersburgu, ksiądz Szymanowski, nie dopuszczony jednak ani razu do Łukasińskiego. Tak żył, albo raczej tylko nie umierał, przez długi szereg lat Łukasiński. Odtąd w ciągu całej ćwierci wieku brak wszelkiego śladu jego istnienia. Tajemnica zachowywaną była tak ściśle, że obecność tego zagadkowego więźnia w Szlisselburgu stała się z biegiem czasu niepojętą nawet dla osób, z samego swego fachu najlepiej informowanych w podobnych materyach. Tak więc w maju 1850 r. zarządzający Trzecim Wydziałem Własnej J. C. M. Kancelaryi, imieniem szefa żan-



CESARZ ALEKSANDER I.

darmów, zwrócił się do ministra wojny zapytaniem, jaka właściwie jest wina onego starca Polaka, trzymanego w twierdzy szlisselburskiej, i na jakiej podstawie jest on więziony. Minister wojny, którym był wtedy ten sam, urosły tymczasem w zaszczyty, podniesiony do godności książęcej, Aleksander Czernyszew, stary, tem bardziej zawzięty, że z Polką żonaty,

nieprzyjaciel Polski, w obszernej swej odpowiedzi do szefa żandarmów, ks. Aleksego Orłowa, wyjaśnić mógł ostatecznie tyle tylko, iż Łukasiński więziony jest na mocy własnego rozkazu J. C. M. Mikołaja I. Pierwsza naoczna o Łukasińskim wiadomość przyszła dopiero od rewolucjonisty rosyjskiego, Michała Bakunina. Bakunin, za uczestnictwo w rewolucji drezdeńskiej 1849 r. więziony w Ołomuńcu, wydany potem przez Austryę w ręce Mikołaja I, był trzymany od 1854 do 1857 r. w Szlisselburgu. W pierwszym roku swego zamknięcia ujrzał on tutaj Łukasińskiego, kiedy ten, wyjątkowym sposobem, z powodu choroby, wyprowadzony był ze swego lochu na przechadzkę. „W czasie, gdy nas wypuszczono na powietrze — opowiadał później, wydostawszy się na wolność, Bakunin — dnia jednego uderzyła mnie postać, pierwszy raz widziana, postać starca z długą brodą, jakkolwiek zgięta, wojskowej postawy. Strzegł go osobno oficer dyżurny, tak aby nikt nie zbliżał się do niego. Starzec ten chodził powolnym, słabym, jakby miarowym krokiem, nie oglądając się na nikogo. Pomiędzy oficerami dyżurnymi był jeden człowiek godny, społeczący; od niego dowiedziałem się w zaufaniu, iż ów więzień był to major Łukasiński. Cała moja usilność odtąd była, aby móżdż go jeszcze zobaczyć, przemówić do niego; ułatwił mi to zacny oficer. Po kilku tygodniach, w czasie dyżuru oficera tego, pod jego osłoną znów wyprowadzono Łukasińskiego; sposobem umówionym zawczasu, nie postrzeżony od współwięźniów doszedłem go zblizka i półgłosem zawołałem: „Łukasiński”. Drgnął na całym ciele, obrócił na mnie wpółzaciemnione oczy. „Kto?” zapytał. „Więzień od tego roku”, odrzekłem. „Który rok?”, zapytał. Odpowiedziałem. „Kto w Polsce?” „Mikołaj”. „Konstanty?” „Nie żyje”. „Co w Polsce?” „Wkrótce będzie dobrze”, odpowiedziałem. Odwrócił się nagle, stanął, widziałem przyspieszony oddech jego, obejrzał się, po chwili szedł znów swym zwykłym, słabym, miarowym krokiem, powoli, ze spuszczoną głową. Kiedy znowu nadszedł czas dyżuru oficera tego, pierwsze moje pytanie było o Łukasińskiego. Powiadał, że był przez kilka dni niespokojny, majączył; przypisywali to powietrzu. Powrócił następnie do swego półsennego stanu. Pytałem się oficera, czy on nie może przemówić kiedy do nieszczęśliwego, pomóż mu w czym? Odparł, że do jego celi wchodzi się tylko we trzech, nie wolno inaczej, więc nic uczynić nie można nigdy. Więcej Łukasińskiego nie widziałem”.

MACIERZYŃSTWO.

Ziemię mrok osnuwa, gaśnie złoto zórz, nad kołyską czuwa cichy anioł-stróż; rozkochane oczy patrzą rzewnie tak; dzień się zwolna mroczy, w gwiazdach niebios szlak...

Dziecko główkę senną chyli już do snu, matka twarz promienną w uśmiech stroi mu; w słodkim tym uśmiechu czar miłości lśni... słychać szmer oddechu... śpi dziecina, śpi...

Srebrny blask księżycy do pokoju wpadł, matka wznosi lica w gwiezdny, górny świat, korną śle modlitwę do nieznanych stron: niech życiową bitwę da mu przetrwać On.

„Boże miłosierny, słuchaj prośby mej; niechaj będzie wierny świętej ziemi swej, niech go złość nie zmoże, szarpiąca ten kraj... daj mu siłę, Boże! wielkie serce daj!”

Coraz ciszej, ciszej szept modlitwy tchnie, Bóg ją w niebie słyszy, On zna przyszłe dni; wie, co dziecko czeka nieodparcie już: krwawa i daleka droga chmurnych burz.

Lecz matczyne modły, jak blask słońca smug, będą dziecko wiodły wśród krzyżowych dróg, na szalonej fali, w błocie ludzkich kniej, duszę mu ocali moc miłości jej.

Bo niema kochania nad uczucie to, co od lat zarania szafuje swą krwią, serce w strzępy targa, gnąc pod trudem kark, ach, i żadna skarga nie wypłynie z warg.

A dziecina rośnie, jak na słońcu kwiat, już rozkwitła w wiośnie, już się zrywa w świat; zapalem skrzydłata, leci, młody ptak, do ludzi, do świata, na ciernisty szlak.

Leci prosto w sidła, matki radom wbrew, opali tam skrzydła, jadem struje krew, siły w lot roztrwoni, siejąc perły w pył... Matka w swej ustroni prosi: „byle żył!”

Żyje! — i powraca, błędny, chory ptak, ból, co życie skraca, wrył w licach znak, lecz matczyzna ręka ściera gorzkie łzy... i pierzchnęła męka... i wróciły sny...

Miłości matczyzna! święć się, trzykroć święć, tęcze nam rozpina twoja złota przędź; niepożyta wiecznie, choć w dyamentach łez, dziecku lśniesz słonecznie aż po życia kres.

Bo, choć już w zaświaty pójdzie matki duch, stamtąd on, skrzydłaty, wciąż wyteżę słuch, na dziecka wezwanie w chwile trosk i burz, zawsze przy niem stanie wierny anioł stróż...

a o

JEDYNA POCIECHA (Z V Salonu dorocznego)

M. PEĆZARSKI



EDWARD SŁOŃSKI: O ŚMIERCI TWOJEJ I MOJEJ.

I.

Chorałym jakimś śpiewem
napełnił się mój słuch...

Dziś umarł jeszcze jeden
przyjaciel mój i druh.

W umarłe oczy patrzę
bez żalu i bez łez —
dziś ty, a jutro może
i ja swój znajdę kres.

Już słyszę jakieś śpiewy —
bór szumi! — nie! nie bór!
Chorałym śpiewom w dali
skrzypeczki grają wtór.

Śpiewaniem tak i graniem
odchodzi życie w dal...

— Ani mi ciebie, słońce,
ani was, kwiaty, żal!

II.

Coraz mi ciszej grają
skrzypeczki w noc i w dzień —

czuję, że wrastam w ziemię,
niby spróchniały pień.

Śmierci, co przy mnie stoi,
bez strachu patrzę w twarz...

— Czemuż ty, grajku miły,
coraz żałośniejsz grasz?

— Nie myśl, że mi żal słońca,
i nie myśl, że mi żal
smutnego mego życia,
odchodzącego w dal!

III.

Mówię — a niewidzialna
skrzypeczka łka i łka...

O mnie on i o tobie
coraz żałośniejsz gra.

IV.

Codzień stąd ktoś odchodzi,
więc wciąż mi kogoś brak...

Dziś ty, to znów kto inny
odleci stąd, jak ptak.

W rodzajne łono ziemi
ostatnim wsiąknie tchem
i wszędzie wonnym cząbrem,
albo zielonym mchem.

Dziś ty, mój dobry bracie,
dziś ty, a jutro ja —
najbliższym przyjacielom
pojutrze oschnie łza.

Zapomną, że płakali
wczoraj u trumny mej —
i będzie tylko jednym
roboczym wołem mniej!

V.

Dziś ty, mój dobry bracie,
dziś ty, a jutro ja!
O mnie on i o tobie
coraz żałośniejsz gra.

Z pamiętników apostolki pokoju.

Wedle trafnego wyrażenia, dyabeł na stare lata zostaje pustelnikiem. Wiele kobiet, które dużo kochały, które nie żałowały sobie życia, kiedy wiek miłość wykluczy, zaczynają zajmować się filantropią, feminizmem, lub innymi — izmami. Do ich liczby może należeć i pacyfizm. Temu określeniu odpowiada żywot głośnej działaczki w imię wiecznego pokoju, baronowej Suttnerowej.

Kto czytał „Precz z orężem” lub „Dzieci Marty”, widział w nich najczęściej wizerunki życia autorki. I wyobrażał ją sobie w szatach wdowich, opłakującą ojca, męża, synów, złożonych w ofierze Molochowi wojny. Nic bardziej fałszywego. Wyznaje to zupełnie szczerze bar. Suttnerowa w pamiętniku. A szczerłość i bezpretensjonalność — to wielkie jego zalety. A gadatliwość i rozmiary olbrzymie — to wady. Nie dziwny się... Mamy do czynienia z kobietą.

Berta Kinsky pochodzi ze starej rodziny szlacheckiej. Nie może jednak wywieść się z szesnastu pokoleń bez skazy tarczy. I to pierwsza gorczy młodej hrabianki. Nie ma dostępu do dworu. Prawdziwie wysoka arystokracya, która w obrębie słońca dworskiego grawituje, patrzy na nią zgóry. Przez zniechęcenie, przez chęć zaćmienia lekceważących bogactwem, o mało co siedemnastoletnie dziewczę nie wychodzi za podtatusiałego już bogacza-bankiera. Ale pierwszy pocałunek mięsistych, chłodnych warg wzbudza w niej takie obrzydzenie, że porzuca przyszłego oblubieńca, ucieka nawet z Wiednia.

Berta Suttnerowa urodziła się w roku 1843. Przyszła apostołka pokoju przeżyła bez drgnienia serca najkrwawsze wojny stulecia, Sadową, Sedan, wojnę rosyjsko-turecką. Sama przyznaje, że nie wzruszały jej losy żołnierzy: bolała nad nimi, ale raczej teoretycznie, tłumacząc wszystkim wzruszeniem ramion: „trudno!... wojna!...” Nic w tem dziwnego. Najbliższy krewny — feldmarszałek — porucznik, młodzież otaczająca — wojskowi, tradycje rodzinne — wojenne.

Po wyjeździe z Wiednia panna Kinsky prowadzi życie hotelowe, koczownicze. Podejrzynam — choć o tem wspomina mimochodem — że matka zbyt lubiła ruletkę w Homburgu i Baden-Baden. Aż poszły resztki majątku. Panna po drodze skraca sobie życie miłością. Jakiś miliarder australijski, jakiś książę kaukaski — świat wielkich *rastaqueurów* hotelowych. Karyera śpiewacza nieudana. Berta zostaje wreszcie nauczycielką w rodzinie Suttnerów. Romans najstarszego syna z nauczycielką — jak zwykle. Mniej zwykłe zakończenie — małżeństwo z siedem lat młodszym Arturem Suttnerem, wbrew

woli rodziny — naturalnie; potem ucieczka na Kaukaz. Młoda mężatka ma już lat trzydzieści trzy.

Zanotujmy jeszcze przedtem krótkotrwały sekretaryat u Alfreda Nobla, który się w panie Bercie zakochał. On już wtedy myślał „o wynalezieniu maszyny, któraby zniosła od-

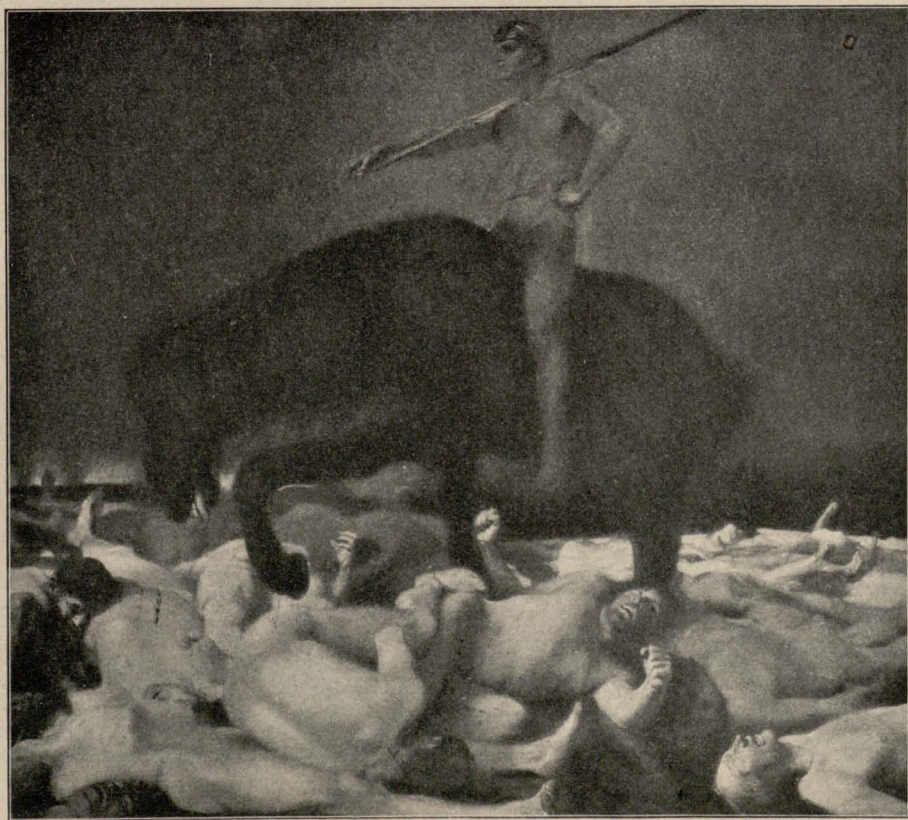


BERTA SUTTNEROWA w r. 1873.

razu wszelkie wojny”. Ale te słowa w przyszłej autorce „Dzieci Marty” nie wzbudzą oddźwięku.

Małżeństwo było bardzo szczęśliwe. Na Kaukazie musieli zarabkować. Bywało różnie. Ale baronowa przekonała się, że ma talent literacki. Kilka romansów bez znaczenia. Rozgłos pewien jednak już jest, a pogodzenie z rodziną powoduje powrót do Europy.

Jeszcze w r. 1886 baronowa ma pewną lekką pogardę „dla kobiet, zajmujących się polityką”. W następnym zaś dowiaduje się po raz pierwszy w życiu o istnieniu międzynarodowego stowarzyszenia pokojowego.



WOJNA

Ogarnia ją zachwyt i zapał. Pisz „Precz z orężem!”

Umieszczenie tej powieści nie było jednak takie łatwe, jak poprzednich. Redakcyje lękały się, trzeba było wyrzec się druku w gazecie. Ale i księgarze dzielili obawy — konfiskaty, oskarżenia o propagandę antymilitarną. Wreszcie znalazł się śmiałek, Pierson i — nie żałował śmiałości. Rozgłos książki był olbrzymi, ilość wydań — odpowiednia.

Takie były narodziny działaczki. Kto wie? Gdyby nie trudności wydrukowania, gdyby nie rozgłos, nie byłoby zapewne sławnej baronowej Suttnerowej...

Od tej chwili całe jej życie poświęcone jest sprawie wiecznego pokoju. I od tej chwili pamiętnik jest nudny. Dotąd mieliśmy spowiedź kobiety, z talentem beletrystycznym podaną; odtąd mamy suchy dziennik męża stanu, listami, odezwami, aktami naszpikowany, a przerywany wybuchami niewieściego entuzjazmu. Nie piszemy historii ruchu pokojowego, — drugiej części pamiętnika streszczać nie będziemy.

Wiele miejsca zajmuje w niej entuzjazm na cześć „rosyjskiego radcy stanu”, Jana Blocha, i jego dzieła. Byłaby „Wojna przyszłości” bezsprzecznie dziełem znakomitem, gdyby autorowi nie zadała kłamu na wszystkich punktach wojna rosyjsko-japońska. Nie liczy się z tym zarzutem życia Suttnerowa, kończąc swoje wspomnienia na r. 1902. Nie róbmy jej z tego zarzutu: uszanujmy boleść zrozpaczonej wdowy... Wtedy właśnie straciła ukochanego męża.

Na zakończenie — jeszcze jeden ciekawy szczegół. Kiedy Sienkiewicz zwraca uwagę „pokojowej” baronowej na dołę Polaków w Prusach, odpowiada mu listem otwartym. Treść jego taka: „Nie można powiedzieć komuś, kto robi coś pożytecznego: rób raczej *to*, niż *tamto*. A jeżeli *tamto* obejmuje szersze kręgi, to lepiej robić *tamto*, bo przez obronę zasady ogólnej służyliśmy zastosowaniu jej do wszelkich wypadków szczególnych”. Zapewne. Ruch pokojowy swoją drogą, a *pokojowy* ucisk Polaków w Poznańskim swoją. *Vae victis — ave pax!*

Zasady te nie znajdują oddźwięku w sercu polskim. Istnieje nieliczna, niegłośna, przez starych idealistów z epoki „wiosny ludów” założona „Liga pokoju i wolności”. Dąży ona również do pokoju, ale nie na gruncie faktów dokonanych, lecz na gruncie zasad z 1848 r. Należą do niej weterani walk o wolność, osoby, które nie są *personae gratae* u dworów i u rządów. To też członków jej nie zapraszają na wielkie, pompatyczne kongresy. Działalność „Ligi” jest równie bezpłodna, jak konferencji międzyparlamentarnych i międzynarodowych. Ale jej szlachetny idealizm zasługuje na szacunek i uznanie. Nie żyjemy tych uczuć dla działalności hałaśliwych promotorów, w rodzaju bar. Suttnerowej. Niech im wystarczy urzędowy entuzjazm potężnych tego świata. Bez naszego skromnego głosu w tym chórze obejmą się z łatwością.

FRANCISZEK STUCK



BERESTECZKO
Z V Salonu dorocznego

ANTONI PIOTROWSKI



PRZED STU LATY
Z V Salonu dorocznego

ANTONI PIOTROWSKI



Strój z czasów Ludwika XVI.



Strój z XVI wieku.



Fryzura z czasów Ludwika XV.



Uczesanie z 1830 roku.



Strój z czasów Dyrektoryatu.

KOBIETA I MODA.

Chciałbym pisać piórem pawia,
Lub kolibra piórkami złotem,
Bo niniejszem rzecz się wstawia,
Co jaśnieje tęcz klejnotem.
Zwykłem słowem cóż wypowiem,
Z cudną treścią chcąc być w zgodzie?...
Skrzydeł! skrzydeł! piszę bowiem
O kobiecie i... o modzie...

Moda istnieje niewątpliwie od czasów raju i tej, która z powodu jednego głupiego jabłka skazała ród ludzki na grzech, wyrzuty sumienia i płacenie komornego. Nie wątpię, że koafiura Ewy ulegała kokieterijnym zmianom, przypuszczam również, iż listek figowy ustępował miejsca laurowemu, lub zgoła po niejakiem czasie zaniedbany, przekształcił się w strój, złożony z kwiatu róży (bez cierni), lub bukiecika fijołków.

Było to piękne, poetyczne, wygodne—i tanie. Jeżeli zaś jedna, jedyna niewiasta, żyjąca podówczas na świecie dla uszczęśliwienia jednego, jedynego mężczyzny, już myślała o przyzodobienu swych naturalnych wdzięków, cóż tedy dopiero mówić o niewiastach późniejszych, które, nie tak pewne, jak Ewa, wierności małżonka, cały swój spryt wysiliły musiały, aby nie tylko utrzymać przy sobie własnego męża, ale zawrócić głowę i cudzym.

Z tej chęci przypodobania się mężczyźnie kochanemu i zatrucia humoru żonom cudzym narodziła się moda. Matką jej jest kobieta, ojcem? Ojców, wbrew prawom obowiązującym, ma dwóch.

Wtedy, kiedy chodzi o serce jednego mężczyzny, kiedy kobieta całą swą istotą woła: „Piękną chcę być dla ciebie tylko!” ojcem sztuki przypodobania się jest—anioł. W przeciwnym razie, tam, gdzie zależy na usidleniu pewnego kompletu „pożeraczy jabłek”—szatan.

Tak przeto anioł i szatan kolegują ze sobą, jako współnicy anielsko-szatańskiej istoty, która się nazywa kobietą.

Zresztą, przynajmniej należy, że zarówno w pierwszym, jak w drugim wypadku, moda na osoby interesowane wpływa dość... ogłupiająco.

Sztuka mody jest sztuką najstarszą i najważniejszą na świecie; wszystkie inne: poezja,

malarstwo, muzyka, rzeźba powstały znacznie później i, szczerze powleddziawszy, niższe od tamtej zajmują stanowisko. Bo proszę powiedzieć.

Jakiż poemat, jakiż obraz, jakaż symfonia piękniejsze są, albo równie piękne, jak miła, pończeta, śliczna, młoda kobieta?

Pieśnią każde jest jej słówko,
Pieśnią każde jej spojrzenie,
Gdy czarowną skinię główką,
Szedłbyś w wodę i w płomienie.

Rytm muzyki ma w swym głosie,
Wdzięk cudnego malowidła,
I—o stokroć dziwny losie!
Daje rogi—a ma skrzydła!...

Mówmy poważnie. Moda znana była w Assyrii i w Egipcie, w Indyach i w Chinach; w starożytnej zaś Grecji i w Rzymie sztuka mody, sztuka upiększania się, dbałości o swoją urodę i naprawiania jej defektów doszła do zenitu.

Starożytni ze swoim kultem ciała, ze swym rozkochaniem się w pięknych kształtach, w szlachetnych liniach, w soczystych barwach musieli poprostu stworzyć cały szereg manipulacji, dążących do utrwalenia tych zalet (jeśli były), stworzenia ich (jeśli się dało).

W wiekach średnich, wiekach wojen krzyżowych, błędnego rycerstwa, minnezengerów i trubadurów, strój kobiecy traci swój charakter poważny, a jednak swawolny zarazem. Cechuje go teraz pewna surowość, ma w sobie coś klasztornego. Tamten wdzięk niewieście ujawniał chętnie i bez udanej wstydlivosti, uważając, jak owi Duńczycy z pamiętników Paska, że nie rzecz jest wstydzic się swoich własnych członków, które Pan Bóg stworzył; ten zaś zasnania i ukrywa wszystko, co trzeba i czego nie trzeba, i obtula kobietę od stóp do głów, jakby strzegąc ją zazdrośnie przed oczyma obcymi, aby nie budzić pokus.

Może dlatego właśnie, w skutek owej tajemniczości, rozwija się rycerska galanteria, która każe idącemu na krwawe boje rycerzowi ozdabiać hełm wstęgą, wziętą, jako talizman, od damy swego serca.

Dźwięk trąb leci na krążanki,
Rżą rumaki, oręż szczęką,
U stóp cudnej kasztelanki
W pełnej zbroi rycerz kłęka.

Jeszcze w salach brzmi echowo
Szmer miłosnej kantyleny...
„Z ową szarfą lazurową
Idź wojować Saraceny!...”

A potem szybkim krokiem, ba! kłusem, a nawet galopem pędzi rozwój sztuki upiększania się i prawie jednoczesnej sztuki przypodobywania się. Dama z epoki Franciszka I-go nie ma wprawdzie czasem... koszuli, nie mówiąc o chusteczkach do nosa, natomiast suknia jej, koronki, klejnoty oznaczają się niesłychanem bogactwem i pomysłowością coraz nowych odmian.

Markizy i hrabiny z czasów Ludwików XIV-go, XV-go i XVI-go kokietują nadzwyczajnymi fryzurami, podobnymi często do wiszących ogrodów, pełnych kolorowego kwiecica, lub ptaszarni, ozdobionych tuzinami zamorskich złoto i tęczowoskrzydłych kolibrów, a nawet papużek, wtedy też wchodzą w modę tak zwane „muszki”, krążki czarnej kitajki, przylepiane na twarzy, gwoli podniesienia efektu delikatnej białoróżowej cery, najczęściej co prawda uczynionej sztucznie za pomocą pędzelków i szminek.

Fryzury, muszki, kostiumy z Francji przychodziły do Polski błyskawicznie. Pani wojewodzina, kasztelanowa, starościna, a nawet zwyczajna miecznikowa, czy podstolina kubek w kubek podobne były do czarodziejskich kwiatów wersalskiego dworu...

W blaskach wiosny lśnią Łazienki,
Biały salon króla Stasia,
Panie, panny i panienki,
Kazia, Stefcia, Julcia, Basia...

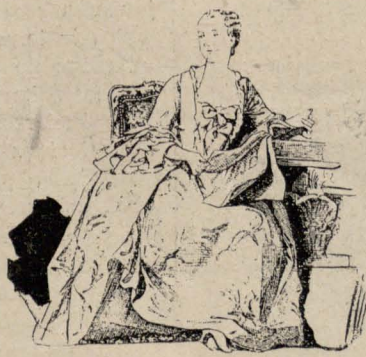
Jakby Paryż tu był blisko,
Dyskurs obcym tchnie tematem...
Polskie imię i nazwisko—
I polskości koniec na tem.

A potem uderza grom wielkiej rewolucji. Wali się stary porządek świata, tryskają strumienie krwi, niezmordowanie pracuje gilotyna, szal ogarnia umysły. Człowiek, niepewny jutra, żyje gorączkowo dniem dzisiejszym i rzuca się w wir uciech zmysłowych. Miłość—nie wiem czy można to tak nazwać—i polityka są treścią życia. Moda, jak wszystko zresztą podówczas, wpada w orgię. Jest dziwna, fantastyczna—i bezwstydna, aż z dyrektoryatem i cesarstwem wraca do szlachetnych form klasycznych.

ao.



Styl Trianon.



Strój z czasów p. Pompadour.



Ubranie skromne z czasów Ludwika XVI.



P. Molé-Raymond.



Koronki z czasu Walezyuszów



Uczniowie kursów Promyka w Pszczelinie, po wyjściu z nabożeństwa inauguracyjnego.

PAMIĘCI PROMYKA.

Pół roku zaledwie upłynęło od chwili, gdy zaciszny cmentarz powązkowski przytulił popioły niezapomnianego pisarza *Gazety Świątecznej*, a już zbiorowa inicjatywa uczciła pamięć jego czynem pięknym, doniosłej wartości społecznej. Jakgdyby wypełnienie testamentu Promyka, w którym rdzeniem szczytne przykazanie narodu: w ludzie przyszłość cała, powstaje ważna placówka oświatowa — Kursy rolnicze imienia Promyka. To pierwszy czyn zbiorowy nad świeżą jeszcze mogiłą; pierwszy, a sądzić nam wolno, że nie ostatni. Boć niemasz trwalszych monumentów nad grobem Promyka, jak powoływanie instytucji dla służby publicznej około braci siermiężnej, duchowo zaniedbanej.

W imię hasła i dążeń Promyka — staraniem centralnego Towarzystwa rolniczego powstały w Pszczelinie przy tamtejszych Kursach rolniczych zimowe Kursy imienia Promyka. Do chwili obecnej takiej uczelni, gdzieby mogli w ciągu kilku tygodni zimowych młodzi rolnicy wiedzy zaczerpnąć, nie mieliśmy. Urządzano, co prawda, tu i owdzie systematyczne wykłady i pogadanki, organizowano racjonalne pokazy, ba! rzucano się nawet na szersze pomysły: urządzano wystawy rolnicze. Kursy im. Promyka w zakresie szerzenia wiedzy zawodowej wśród drobnych i średnich rolników — to znaczny krok naprzód, to podjęcie rękawicy w systematycznej walce wiedzy rolniczej z zakorzenionymi przesądami i nieuctwem naszych rolników-włościan.

W ubiegły poniedziałek dokonano uroczystości otwarcia dziesięciodniowych Kursów im. Promyka.

Zgromadzili się uczniowie wraz z gośćmi warszawskimi w biednym kościółku brwinowskim, Zbitą kupą bezładną klęczeli młodzi uczniowie; zlecieli się ze wszystkich stron kraju po wiedzę; modlitwą rozpoczynali swe trudy. A poprzez długie pacierze ofiarne przewijało się co chwila w głośniejszym szepcie imię Promyka.

— Wieczne odpoczywanie mu — szeptały usta bezwiednie...

Kościół zalegała cicha jasność pogodnego dnia; poprzez małe okna sączyły się promienie słoneczne, osiadały na twarzach zamodlonej gromady.

Takie było pierwsze niejako zapoznanie wspólne.

A potem w wielkiej sali wykładowej przez Leśniowski witał zebranych, wskazując na żywot ś. p. Prószyńskiego, tego niedościgniętego wzoru pracy społecznej, nawoływał do kroczenia jego śladami.

I na tem zakończono całą uroczystość inauguracyjną. Znamionowała ją prostota i cicha powaga, godność a poczucie doniosłości zadań. Nie

było momentów patosu, lub pospolitego frazesu; przeciwnie, wycierały ze wszego jasne porozumienie i wzajemne odczucie.

Zaraz też przystąpiono do wykładów, nie stracono ani chwili czasu.

Z dziwnym uczuciem spokoju opuszcza się mury gmachu szkolnego w Pszczelinie, tyle tam powagi i cichego zadowolenia, tyle pracy i wytrwania, tyle wreszcie wiary w lepszą przyszłość!

Dzisiaj zbieramy plon pracy Promyka: wieś, w znacznym stopniu nauczona czytania, posuwa się coraz dalej i dalej w swym rozwoju umysłowym, coraz śmie-

lej przeciąga dłoń po wiedzę głębszą, poważniejszą.

Kursy imienia Promyka — to znaczny szczebel w tej pielgrzymce ludu polskiego. wa

JARMARK.

Z CYKLU: „WIEŚ“.

Zajeżdżam...

Ani psa z kulawą nogą! Rozglądam się po przyprószonym świeżym śniegiem dziedzińcu... Nikogo...

Huknąłem raz i drugi. Nareszcie na drodze, wiodącej od stodoł, ukazała się jakaś dziewczyna, niosąca worek ze zbożem prawdopodobnie.

— A cóż tu u was? czy wszyscy wymarli, czy co?

Wyszczrzyła białe zęby, którychby pierwszorzędnym dentysta pozazdrościł:

— Ej! chwalić Boga! wszyscy w zdrowiu, tylko... jarmark!

— A dziedzic?

— Dziedzic je, jedno wydaje obroki, bo karbowy...

— Na jarmarku — dokończyłem.

— A juści! — potwierdziła.

W końcu zauważono mój przyjazd. Pan Piotr wybiegł ze śpichrza i, powitawszy otwartymi rękoma, poprowadził przez pusty podwórzec ku dworowi, przepraszając:

— Darujcie! ale to dzisiaj jarmark. Wszystko się porozłaziło.

— Jarmark! jarmark! — pomyślałem i, przypomniawszy sobie owe wyrzekania w prasie na jarmarki, jako źródło demoralizacji ludu, zacząłem, gdyśmy się znaleźli w mieszkaniu, dąć



NA JARMARKU.

z tej dudki, pewien, że utrafię w myśl ogołoconego ze służby szlachcica.

Perorowałem na ten temat długo i wymownie, gdy mi przerwał ni stąd, ni zowąd:

— Wprawdzie teraz po dworach ciszej, ale zawsze człowiek jaką taką rozrywkę po pracy znajdzie. To z fuzyjką, to do sąsiada na partyjkę, czasem, jak się więcej łaskawych zjedzie, to sobie nawet poskaczemy...

My, inteligencja, mamy w czym wybrać. A chłop? a lud wiejski? Gdzie znajdzie jaką taką rozrywkę po ciężkiej pracy, rozrywkę, która mu się słuszniej, niż wielu innym należy. Dla niego jarmark to resursa, to koncert, to teatr, to bał wreszcie! Niema się czemu dziwić.

— Jednakże — wtrąciłem.

— Zapewne, nie przeczę, że z każdym jarmarkiem połączona jest i duża strata czasu i często marnotrawstwo pieniędzy, i wiele złego nawet przylega do duszy wieśniaczej po szynkowniach, ale na to jedyna rada: zreformować jarmarki...

— W jakim kierunku? pod jakim względem?

— Posłuchaj pan! Włościanin ciągnie na jarmark, aby kogoś ze znajomych spotkać, pogawędzić, żeby się o czymś dowiedzieć, wreszcie żeby się zabawić, co, jak już mówiłem, słusznie mu się od życia należy. I co dziś na tym jarmarku spotka? czem i gdzie może się rozerwać? W szynku kieliszkiem wódki, lub kuflem piwa, bo czego innego niema. Widziałeś pan kiedy jaki kram z książkami? Wychodzi obecnie wydawnictwo tanie, prawie groszowe, arcydzieł literatury, wydawnictwo, jakby stworzone na kolportaż po małych miasteczkach podczas jarmarków... Czyś pan kiedy w jakim miasteczku kolportera widział? Mówi się dużo o domach ludowych... A teatr ludowy?

Westchnął znacząco.

— A nadomiar, jeśli o zabawy taneczne idzie, które nasz lud cały prostaczą duszą lubi, gdzie mają potaćzyć? Widziałeś pan pewnie wesele chłopskie, to wiesz pan, jaka to ochota, szczerą, niewymuszona...



JARMARK W PEŁNI.

— Więc? — spytałem.

— Więc.. gadanie nie pomoże! jarmarków nie usunie. Trzeba je... uszlachetnić! Niech lud na jarmarku znajdzie kramik z książką, niech znajdzie wytchnienie w „domu ludowym”, niech popatrzy od czasu do czasu na jakieś widowisko teatralne, a przestaniemy się bać... jarmarcznych szynkowni.

Zmierzchno. Na pobielonej śniegiem drodze ukazali się z powrotem pierwsi jarmarkowicze.

Jakiś parobczak przyspiesywał do idącej obok dziewczyny:

„Biały wóz, biały wóz,
Małowane luśnie,
Daj mi, Maryś, buzi,
Jak matusia uśnie!”

Pan Piotr zafarł ręce:

— Czy znasz pan coś piękniejszego nad polski lud śpiewający? K. LASKOWSKI.

MODERNIZM.

Nie było bardziej nadużywanego i bardziej pustego wyrazu... Jeszcze pięć lat temu każda ekstrawagancja, każdy wybryk, każda nadzwyczajność—otrzymywały na chrzcie dziennikarskim miano *modernizmu*. Świętem i kaznodziejskim oburzeniem wrzały szpalty niektórych dzienników, nawołujących społeczeństwo do wojny krzyżowej z tą bestią apokaliptyczną, która pod sztandarami sztuki wkroczyła do naszego życia.

Nagle zamilkło wszystko.

Pierwsze konwulsje ruchu rewolucyjnego, pierwsze odbłaski łuny, zwiastującej ogromny pożar, zmieniły nastrój do niepoznania.

Wysoko podniesiona fala opadła. Nikt nawet nie zauważył, że pozostało po niej wybrzeże, usiane pięknymi, różnokolorowymi muszlami, że został muł lepki, użyźniający.

Przestano mówić o modernizmie. Przestano wogóle mówić o sztuce i naklejać jej etykiety.

Dopiero dzisiaj, kiedy wytrącone z równowagi życie zaczyna powracać do norm swoich i w dawne wlewa się łożyska, tu i owdzie zaczynają się wszczytać nieśmiało dyskusje na temat zagadnień artystycznych.

Wyraz *modernizm* na szczęście jednak zniknął z naszego słownika, a jeżeli go jeszcze czasami używamy, to już nie *nadużywamy* z pewnością.

Mniejsza o to jednak. Jest rzecz inna, ważniejsza.

Rozmawiałem przed kilku dniami z redaktorem poważnego pisma literackiego.

— Niech mi pan powie—mówił—co się stało z tym legionem młodych poetów, których lutnie brzęczały tak donośnie przed kilku jeszcze laty? Podczas rewolucji uważałem ich milczenie za zjawisko naturalne, bo *inter arma silent musae*. Ale teraz? Kiedy dawniej byliśmy nieraz w kłopotach, co robić z nadmiarem poprawnych, godnych druku sonetów, pięknych rond, wykwintnych stornelli i kunsztownych canzon, dzisiaj—zaczynamy odczuwać wprost brak wybredniejszego materiału. Tylko grafomani wytrwali na stanowiskach i zasypują nas swoimi niedołącznymi wzlotami na Parnas. Poeci najnowsze stempla—umilkli. Cały obóz *Chimery* rozpadł się i zniknął. Dlaczego?

Pytanie zaskoczyło mnie z nienacką. Nie mogłem dać odpowiedzi i nie kwapiłem się z tem bynajmniej. Tymczasem redaktor tak ciągnął dalej:

— Widzę w tem rzecz znamioną. Z jednej strony całą sztuczność niedawnego podniecenia poetyckiego i cały dyletantyzm twórczości, wywołanej raczej przez wszechwładne prawo naśladownictwa, niż przez istotny wybuch szczerego natchnienia, z drugiej—charakterystyczny dla pokolenia współczesnego brak tchu, szybkie wyczerpanie się i omdlenie. Była chwila, kiedy sądziłem, że nad Polską rozbiła się istotnie „bania z poezją”. Dzisiaj zmieniałem zdanie i twierdzę, że była to bańka mydlana o ponętnych, tęczyowych kolorach,

ale tylko bańka, która prysła, bo prysnąć musiała. Jest dla mnie rzeczą najwidoczniejszą, że nasi najmłodszy poeci już się wypowiedzieli, że nie stać ich na nic więcej, że w tej garści sonetów, która po nich została, dali całą *głębokość* swych dusz, wykarmionych na wzorach obcych. Są pomiędzy tem rzeczy niezaprzeczenie ładne, ale rzeczy mocnych, trwałych, wróżących więcej na przyszłość—niema. Za to jest także wiele pustej frazeologii, megalomańskiej napuszoneści, sztucznej pozy, a nawet... korsarstwa na morzach poezji zagranicznej. I to był właśnie *modernizm*. Poezja została poezją i będzie nią do skończenia świata. Poeci prawdziwi wchłonęli w siebie to, co w nowych prawdach było dobrego, co podniosło formę i uszlachetniło treść, i ci poeci idą dziś bardzo wyraźnie ku klasycyzmowi, o ile nie byli od początku urodzonymi klasykami. Dyletanci zaś i naśladowcy musieli lutnie swoje zawiesić na kołkach...

— Więc modernizm?

— Skończył się, podobnie jak *impresjonizm* w malarstwie, jak, zresztą, kończy się wszystko, co polega tylko na nieporozumieniu i nie wypływa z twórczych sił duchowych w narodzie. Z. D.

Trzeci polski kabaret.

Charakter Paryża, charakter poezji francuskiej, warunki polityczno-społeczne ukształtowały kabaret, tak jak kształtują teatr każdy, a jeszcze więcej prasę codzienną, z życiem najistotniej związaną, i to nie z życiem, na psychicznych ogólnoludzkich podstawach opartem, lecz z życiem zewnętrznej szaty. Jak więc błędem zasadniczym przenoszenie typów pisma paryskiego, czy amerykańskiego, dlatego że ma w swym środowisku powodzenie, do naszych warunków, tak też i z kabaretem. Jeżeli w Niemczech powstał „Ueberbrettel”, to niezawodnie z inicjatywy paryskiej, lecz z ducha był niemiecki.

Jeżeli my więc, mamy mieć kabaret, to musi on z naszego gruntu wyrastać, i to nie tylko z potrzeb, lecz i z *konieczności*.

Jeżeli podstawą kabaretu paryskiego są *chansony*, to u nas tak być nie może. Bo dla nas piosenka nie jest chlebem powszednim. Nasi poeci nie są *chansonierami*, i rzadko który nawet rzecz do mówienia wygłosić umie. Jeżeli w Paryżu obecne kabarety są brudnymi, nieestetycznymi budami—to wcale nie należy iść w ślad za tem. Jeżeli paryski kabaret goni za aktualnością narówni z *Matin'em*, to nie wynika z tego, że i my to robić musimy. Aktualności bowiem Paryża są zazwyczaj aferami wielkiej skali, nasze aktualności są tylko brudnymi skandalami, które należy rezerwować dla pewnego typu pism. Życie polityczne zresztą Paryża to nie jest, jak u nas, pewna sfera, czy część życia, lecz kość



GRUPA MOMUSA WARSZAWSKIEGO.

pacierzowa, z którą wszelkie nerwy się łączą. Jeżeli więc robi się w Paryżu naganek na kogo, czy napaść, to tam idzie zazwyczaj o wielkiej doniosłości walki politycznej, u nas tylko o skandalik i dziesięciu nowych abonentów.

Dla tych i wielu jeszcze innych powodów kabaret nasz musi być zupełnie inny, a najsilniejszą jego podstawą będzie, jeżeli potrafi z twórczości naszej i z naszego charakteru wyeliminować rzecz nową. Takich jednak czynów nie spełnia się bez tradycji. Pierwszym więc warunkiem stworzyć ją, na niej się oprzeć i brać z niej to, co trwałe i słuszne.

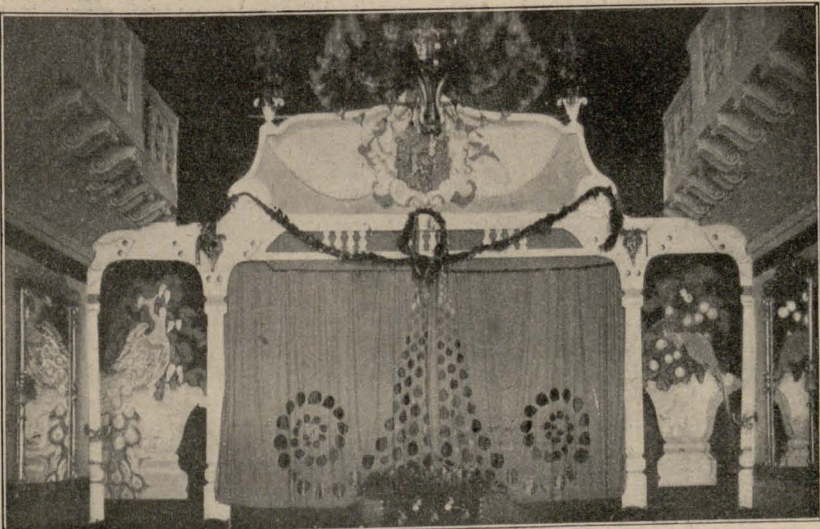
U nas stworzono dotychczas dwa kabarety, oba w Krakowie: „Zielony Balonik” i „Figliki”.

„Zielony Balonik”, założony przed laty trzema, jest zebraniem czysto towarzyskim, gromadzącym się kilka razy do roku. Ponieważ zaś Kraków jest miastem niewielkim, w którym wszelkie interesy się łączą, rzecz naturalna, że i tematy schodzą najczęściej na tory osobiste i najchętniej w tem kole się obracają. Zapanował więc wszechwładnie kuplet aktualny o niezmiernie subtelnej formie, przewyższającej najlepsze wzory paryskie. Piosenka jednak poważniejsza nie znalazła tam gruntu, jako i wszelkie zakusy rozszerzenia widnokręgu upadły. Na zupełnie innej podstawie wyrosły „Figliki”. Poświęcone satyrze szerszego zakresu, jako instytucja stała i publiczna, wysuwały na plan pierwszy jednoaktowe komedye, sceny dyalogowe, sceny muzyczne, pieśni i monologi. Nie był to więc czysty kabaret, lecz połączenie teatru z kabaretem, którego najdoskonalszą formą jest, po „Figlikach”, dopiero założony „Fledermaus” w Wiedniu. A teraz powstaje nowy kabaret, w Warszawie pierwszy—„Momus”. Nie powstał jeszcze naprawdę, ponieważ nowej zgoła formy nie tworzy się w ciągu miesiąca, a jednak to, co dotąd dano, okazało, że kabaret może nie być ordynarnym tinglem, tak jak to w Warszawie bywało.

Nie z samej tylko aktualności bieżącej soki żywota czerpiąc, nie ograniczy się też „Momus” na jednej formie. A więc pieśni i piosenki, wiersze i monologi, sceny komedyjne i muzyczne, marynetki i cienie chińskie złożą się na repertuar różnorodny.

W kręgu „Momusa” skupiła się garść ludzi dobrej woli i walkę ze snobizmem, łgarstwem, słabością, obłudą, parweniuszowstwem i wszelką duszą ordynarnością podjęła. Współpracowników „Momus” zyskał w kołach najpoważniejszych, i to nie tylko współpracowników piszących, lecz i takich, którzy żywym słowem z estrady dań „Momusowi”, „wszechwesołków bogu”, na ołtarz rzucają. Nazwiska tych śmiałków: Bol. Górczyński, Zyg. Kawecki, Alfred Lubelski, J. St. Mar, Wład. Nawrocki, W. Renard, H. Jastrz. Zalewski. A teraz czekać nam tylko plonów!

A. SCHIFMAN.



DEKORACJA „FIGLIKÓW” KRAKOWSKICH.



MESSYNA PODCZAS TRZĘSIENIA ZIEMI.

W KRAINIE ŁEZ I ROZPACZY.

Zdawało się, że sama przyroda włożyła żałobę z powodu wypadków w południowych Włoszech. Przed wiekami jeszcze Ciceron mawiał, że w Sycylii niema dnia, w którymby choć na chwilę słońce nie świeciło. To zdanie od setek lat sprawdzało się zawsze—nie sprawdziło się teraz. W ciągu tygodnia po trzęsieniu ziemi panowała ciągle niepogoda, a szara opona chmur zakrywała słynne niebo błękitne.

Dopiero czwartego stycznia zabłysło słońce. Skorzystano z pierwszego dnia pogodnego, aby w Palermo urządzić masowe zbieranie ofiar na olbrzymią skalę. Ulicami ciągnęły wielkie wozy. Ze wszystkich sklepów zapełniały je ofiary w naturze, owoce, wina, ciasta, wory mąki i ryżu, ubrania, bielizna. Panowie z komitetu na długich żerdziach podawali skarby, aby mieszkańcy z najwyższych pięter nawet mogli składać swój haracz dobroczynny. O zbliżaniu się pochodu obwieszczali idący na czele trębacze. Nie było człowieka, któryby unikał uczestniczenia w ofiarach. Przeciwnie, tłoczyli się ludzie do tej wielkiej manifestacji współczucia.

Dużo zebrano we Włoszech, więcej jeszcze prawie poza ich granicami. Wystarczy tego może na otarcie łez ofiar, nie wystarczy dla nieszczęsnego kraju, którego pomyślność wydaje się na długie lata podkopana. Zdaniem wielu, teraz dopiero nastąpi właściwa katastrofa ekonomiczna. Ubyło dwakroć sto tysięcy spożywców, a na miasta spadł ciężar utrzymania pięćdziesięciu tysięcy nędzarzy bez dachu, bez środków do życia. Handel i komunikacje morskie wstrzymane. Na Nowy Rok przypadały wypłaty olbrzymie. Z czego je teraz pokryć? Jak obliczyć, ile zginęło, jakie są obowiązki państwa, wynikające z niezliczonych papierów publicznych, które znikły pod gruzami?

A jakie będą przyszłe losy zburzonego miasta? Obok „wspaniałej” Wenecyi, obok „pięknej” Florencyi i „wiecznego” Rzymu, nosiła Messina przydomek „mężnej”. I zaprawdę na-

leżał się słusznie temu miastu, tylokrotnie z gruzów odbudowywanemu. Przecież przychodzi wreszcie zniechęcenie.

Bo oto nie dosyć strasznej katastrofy. Ciągle słyszymy o nowych wstrząśnieniach. Trzeciego, czwartego, siódmego stycznia drży ziemia w posadach. W Palmi wałęsa się resztki domów, przedtem ocalałych. W Reggio pozostałych przy życiu mieszkańców ogarnia nieopisana panika. Dyrektor obserwatorium we Florencyi przepowiada peryodyczne trzęsienia ziemi jeszcze w ciągu lat kilku. I radzi stosować się do jego przepisów budowlanych, radzi stawiać domy bardzo lekkie (jak w Japonii) lub niskie, parterowe, o bardzo grubych murach i bardzo głębokich fundamentach.

Równocześnie z tysięcy nie pogrzebanych trupów, które napoczynają psy, a zlatują się już do nich na żer ptaki drapieżne, rozchodzą się śmiercionośne wonie. Sycylia jest pod grozą zarazy. Więc nic dziwnego, że powstaje projekt, aby po sumarycznym przejrzaniu zwalisk oblać je naftą z wielkich zbiorników Neapolu, na czterech rogach podpalić, a co się przed ogniem ostoi, zbombardować, zrównać z ziemią. *Nec locus, ubi Messina fuit*—takie było hasło chwili.

Wzdrygają się na takie zamiary serca. Pozostali przy życiu Messyńczycy protestują w imię miłości gruntu ojczystego, w imię interesów hu-

manitarnych, bo z pod zwalisk coraz to wydobywają jeszcze żywych ludzi, w imię interesów materialnych wreszcie, bo pod gruzami mogą spoczywać wielkie bogactwa. Więc stanie się zadość ich życzeniom: Messina będzie odbudowana.

Mimo energicznej pomocy załóg statków wszystkich narodowości, uprzątanie rannych i trupów zajmie jeszcze wiele dni. A wiele miesięcy—uprzątanie gruzów. Jednakże odrodzi się Messina. Jak tylko pozwolą na to warunki, dawni mieszkańcy będą sprowadzeni do specjalnie na ten cel zbudowanych tymczasowych budynków naokoło gruzów, aby prawa ich zostały zabezpieczone przy budowie. Na przyszłość zamierzony jest podział między najciężej dotkniętą katastrofą gruntów, które bez właścicieli pozostały. Na odbudowanie rząd przeznacza sumę trzydziestu milionów z obecnego budżetu i podwyższenia podatkowe.

Tymczasem—z całej Messyny ocalał jeden tylko dom jednopiętrowy wśród kupy złomów. Ludność obozuje w namiotach, w wagonach, w wózkach i powozach. Jakaś bogata rodzina korzysta z dobrodziejstwa mieszkania w całym breku i w karcie.

Wedle głosu powszechnego pod gruzami jest jeszcze wielu żywych. Wydaje się to tylko bajką, wyrazem uspokajającej nadziei, mimo wszystko. A przecież niektóre iście cudowne wypadki ratunku zdają się to potwierdzać. Z pod gruzów wydobywają niejednego obłąkanego, lub trupy samobójców, którzy raczej z własnej ręki, niż z głodu śmierć ponieść woleli.

Oto kilka wypadków.

Żołnierze włoscy usłyszeli nagle z pod gruzów jakby cichą, schrypniętą skargę. Po półgodzinnej pracy zrobili w gruzach wyłom tak duży, że jeden z nich mógł się wślizgnąć i—znalazł wielką zieloną papugę, która biła pokrytymi kurzem skrzydłami i wrzeszczała ciągle: „Maria! Maria!”. Jakoż po krótkich poszukiwaniach znaleziono ową Maryę, która była tylko zemdlona i niebawem przyszła do siebie.

Szesnastoletnia dziewczyna dni i noce rozgrzebywała własnymi rękami kupę gruzów na miejscu, gdzie niegdyś stał jej dom rodzinny. Przecho-



Reggio di Calabria przed trzęsieniem ziemi.



Ulica La „Palazzata” w Messynie.



Ulica w Messynie, prowadząca do portu, po zburzeniu.

dzący patrol wziął ją za złodziejkę i chciał aresztować, ale rzuciła się do nóg oficera z błaganiami, aby jej w pracy dopomódz kazał. Z pod gruzów wydobyto istotnie całą rodzinę, złożoną z pięciu osób, jeszcze żywą.

Arcybiskup messyński tak opowiada o swoich losach: „W chwili katastrofy modliłem się w mojej kaplicy. Kiedy chciałem ją opuścić, przekonałem się, że wszystkie wyjścia są zasypane. Ukłąłem przed świętym obrazem i lada chwila oczekiwałem śmierci. Modliłem się przez dni kilka, aż przyszedł ratunek”. Ratownicy znaleźli go wśród ruin, w komeżce, i nie uwierzyli, kiedy nazwał się arcybiskupem, przypuszczając raczej, że to jego służący—obląkany w skutek katastrofy.

Jakiś młody człowiek o mało co nie oszalał z radości, kiedy zobaczył swoją żonę, żywcem odgrzebaną. Sanitariusz ostrzegał go, aby pieczołotami swojemi nie męczył jej bardziej, ale nic powstrzymać małżonka nie mogło. Całował namiętnie jej zakrwawione czoło i podarte o mury dłonie. Nareszcie pozwolił ją zanieść do szpitala, krocząc przy noszach. Przecież to nowe, ledwie tłące się życie nie było trwałe. Zmarła niebawem ze zbytku szczęścia...

Innego młodego człowieka wyratowano we fraku, tak jak go zaskoczyło trzęsienie ziemi po powrocie z balu, a pierwszym jego pragnieniem po ujrzeniu światła dziennego był papieros! Odgrzebano młodą śpiewaczkę, której dziecko zginęło, a ona przeżyć go nie chciała. Gdzieindziej dwoje ludzi nie chciało się dać ratować, bo nie mogli odzyskać straconego majątku, a życie bez pieniędzy nie było dla nich nic warte...

Wszyscy uratowani wyglądają, jak widma blade, z wylupionymi na wierzch oczyma. A na niewielką ilość wydobytych z pod gruzów—ile trupów, ilu takich, którzy w chwili ratunku wydali ostatnie tchnienie? Wielu uratowanych w dalszym ciągu krzyczy, stukają, dają oznaki życia, nie bacząc, że są już na powierzchni ziemi...

Nie brak oczywiście i dowodów strasznego barbarzyństwa. Jakiś chłopiec, którego pomocy wzywa żołnierz, odgrzebujący jego ojca, odpowiada z zimną krwią: „a kto mi za to zapłaci?”. Często znajdują ratownicy poobcinane palce: to rabusie śpieszyli się z kradzieżą pierścionków ofiar. Ponieważ sporo złoczyńców zbiegło, kiedy więzienie runęło w gruzy, więc im przypisują te nieludzkie czyny. Tymczasem jeden ze zbiegów opowiada, że w chwili ratunku zaden z nich nie byłby w stanie dokonać nic podobnego, taka radość ogarniała ich z powodu odzyskania swobody, taki lęk gnał ich jak najdalej od miejsca katastrofy. Zatem rabowali zapewne chłopcy okoliczni. Ze złapanymi na miejscu zbójami postępowano sumarycznie; kula w łeb słusznie im się zresztą należała.

Z powodu dzieła ratownictwa, prowadzonego przez gen. Mazza na czele dziesięciu tysięcy żołnierzy, z powodu jego dyktatorskiej władzy od czasu ogłoszenia stanu oblężenia zdania są podzielone. Pisma miejscowe gwałtownie napadają na to, że w obawie rozbojów i rabunków dyktator otoczył miasto kordonem żołnierzy i nikogo nie dopuszczał, co uniemożliwiło ratowanie żywych jeszcze pod gruzami przez najbliższych, jedynych,

którzy wiedzieli, gdzie kogo szukać należy. Gdyby nie to odcięcie miasta, byłoby może istotnie więcej rozbojów, ale byłoby także z pewnością więcej uratowanych.

Tu zatem już upominają się o swoje prawa zwykłe ludzkie niesnaski. Ale nie brak też wypadków spotkania się wobec nieszczęścia ludzi, których drogi życia, zdawało się, nigdy zetknąć się nie mogły. Znana jest niezgłębiona przepaść, oddzielająca Watykan od Kwirynału, większa jeszcze chyba, niż ta, która leży między katolicyzmem a wolnomularstwem. A przecież u łoża rannych ofiar, w naprędcie stworzonym przez Stolicę Apostolską szpitalu św. Marty spotkał się sekretarz stanu Piusa X, nieprzejednany kardynał Merry del Val, z burmistrzem Rzymu, wielkim mistrzem masonów włoskich i Żydem, Nathanem. Przyjazna rozmowa trwała około kwadransa. Burmistrz Rzymu prosił o wyrażenie Piusowi X głębokiej wdzięczności miasta za szybką i skuteczną pomoc dla ofiar...

Tak w dziele współczucia i miłosierdzia spotkać się mogą i spotykają się wszyscy. Zarówno u tych, którzy groźne zjawisko uważają za objaw gniewu Bożego, jak u ludzi, widzących w niem tylko wyraz odrębnego życia przyrody, idącego nieraz obok, a nawet wbrew woli człowieka, budzi się obok żalu świadomy lub nieświadomy bunt. Tak bowiem głęboko tkwi w nas bezwiedne poczucie celowości istnienia świata, czemu najradzykalniej sprzeciwiają się wypadki niczem nieuzasadnionego, logiką naszą nie dającego się objąć zniszczenia.

52



Reggio na brzegu kalabryjskim, po trzęsieniu ziemi.



Palmi na brzegu kalabryjskim, po zburzeniu.

Trzęsienia ziemi w Polsce.

Trzęsienia ziemi w Polsce zdarzają się bardzo rzadko i nigdy, na szczęście, nie pociągają za sobą poważniejszych następstw. Kraje polskie należą, według określenia geologów, do t. zw. tablicy runicznej, a znajdujące się w tej sferze okręgi nie ulegają silniejszym wstrząśnieniom kory ziemskiej.

W ostatnich czasach, przed laty kilkudziesięciu, zaobserwowano kilka lekkich trzęsień lokalnych na Podkarpaciu, które pozostawiły po sobie na powierzchni ziemi niewielkie wklęsnięcia, zwane przez lud „dyabli-mi kottami”.

Wszakże w ubiegłych wiekach Polska nieraz była widownią nader groźnych trzęsień ziemi. Niektóre o tem szczegóły czytamy w „Kronice” Długosza. Tak w r. 1201, „dnia 5-go maja trzęsienie ziemi w Polsce i krajach przyległych, przypadło w samo południe i w następnych dniach po kilkakroć powtarzające się, wiele powywracało wież, domów i grodów, co, iż w polskim kraju rzadko się wydarza, wzięte było za dziw wielki, a niektórych przesadną napełniło trwogą”. O wiele jednak poważniejsza była katastrofa, wydarzona dnia 5-go czerwca 1443 r. Długosz pisze, iż to trzęsienie ziemi „w Polsce, Węgrzech, Czechach i krajach sąsiednich było tak gwałtowne, że wieże i gmachy murowane upadały na ziemię i najtrwalsze waliły się budowy; rzeki powystępowały ze swoich łożysk i, wylawszy na obie strony, ukazały dna suche, a wody wszystko zmuliły, ludzie, nagłym strachem zdjęci, od zmysłów i rozumu odchodzili. Runęło od tego trzęsienia ziemi w nocy sklepienie św. Katarzyny przy klasztorze braci pustelniczych św. Augustyna na Kazimierzu (w Krakowie), i wiele innych rozwaliło się budynków. Mocniejsze jednak było trzęsienie ziemi w Węgrzech, gdzie się nawet zamki niektóre powywracały”. W Polsce powszechne było mniemanie, że od tego trzęsienia ziemia stała się mniej urodzajną i przez wiele lat potem obficie kąkol, chwasty i pszenicę ze śniecią rodziła.

Oprócz powyższych katastrof w Polsce Długosz wspomina jeszcze o trzęsieniach ziemi w latach 1000, 1259, 1328 i 1348.

Do kategorii podobnych zjawisk wulkanicznych należało prawdopodobnie następujące wydarzenie z r. 1631, opisane w broszurze St. Roszyńskiego p. t. „O nowinie cudownej” (wydane w Warszawie w r. 1632): „Kozacy zaporoscy, idący niedaleko Białocerkwie—czytamy tam—usłyszeli w jednej górze krzyk i wołanie, którym strwożeni, przystąpić bliżej nie śmieli, aż się z nich niektórzy, ośmieliwszy, podeszli pod górę, która się natychmiast rozstąpiła, z niej strumień krwi z wodą wypłynął i kul niemało wypadło. Na dowód tego przysłana jest do Warszawy jedna kula, z klejowatej jakiejś materii spiekłej, smole podobnej, zapachu siarczanego, a za uderzeniem żelaza iskry sypiąca”.

Trzęsienia ziemi w w. XVII we Włoszech, zwłaszcza w Kalabrii i okolicach Neapolu, wielce interesowały Polskę, o czem świadczą wydane w tym czasie broszury, zawierające relacje o tych katastrofach i opisy „zapału srogiego góry neapolitańskiej”, lub „historie ciekawe o monstrach, dziwolągach, kometach” i t. p.

W r. 1786 Polska nawiedziona została przez trzęsienie ziemi. Łatwo sobie wyobrazić zabobny przestach ludności, tem bardziej, że ta katastrofa zaszła ściśle w dniu, przepowiedzianym w pewnym pamflecie niemieckim, ogłoszonym jeszcze w r. 1780 i bardzo u nas rozpowszechnionym. Do powiększenia przestachu niemało przyczyniła się świeża pamięć o wielkiej katastrofie kalabryjskiej z r. 1783. Zarządzone zostały procesy i nabożeństwa w celu odwrócenia plag, w której widziano karę niebios. Na szczęście powyższe trzęsienie ziemi nie przybrało poważniejszych rozmiarów.

Przepowiednie o takich katastrofach utrzymywały się do dziś dnia wśród naszego ludu. W r. 1820 przepowiadano zapadnięcie się Lwowa, to samo w r. 1834; jeszcze w r. 1896 krążyła po przedmieściach lwowskich uprzywilejowana wieść o zbliżaniu się strasznej katastrofy, która miała rzekomo całe miasto i jego mieszkańców przyprawić o zgliszczenie. Złośliwi mistyfikatorowie zdołali do tego stopnia oblać ciemne umysły, iż znaczna ilość robotników cegielnianych porzuciła swe zajęcia i wyjechała ze Lwowa.

Prof. Wacław Łaska, z którego artykułu, zamieszczonego w czasopiśmie *Kosmos* w roku 1902, zacerpnęliśmy niektóre powyższe szczegóły, oblicza, iż w okresie od r. 1000 do 1876-go było ogółem 66 trzęsień ziemi w Polsce; wydarzone w XIX wieku nie miały groźniejszych następstw i zaliczyć je należy do niewielkich, ściśle lokalnych wstrząsień, spowodowanych najczęściej zapadnięciami.

H. M.

„Immortelle Pologne”...

Było to w listopadzie 1907 r. Zwiedzałem w Paryżu wspaniałe instalacje *Petit Journal’a*. Wśród wielu osób, które poznałem w redakcji, zwrócił moją szczególną uwagę młody człowiek, który z niezwykłym zapałem mówił o rzeczach polskich. Był to p. Gabryel Dauchot, sekretarz



GABRYEL DAUCHOT.

polityczny redakcji. Zainteresowany Polską, odbył z własnej inicjatywy podróż do Galicji i wrócił zachwycony ludźmi, pamiątkami Krakowa, oraz krajobrazami gór.

Wspomniał mi wówczas, że zamierza wydać książkę o Polsce. Zamiar swój wykonał. Tytuł książki—wyżej.

Jest to rodzaj romansu dydaktycznego. To znaczy, że wiadomości obszerne z historii i lite-

ratury polskiej są wplecione w opowiadanie w formie pamiętnika.

Dwie kobiety - Polki wpłynęły na bohatera. Pierwsza—i to może będzie raziło polskiego czytelnika—to kobieta upadła, którą burze życia osadziły ostatecznie w Paryżu. Śmieje się i całuje za pieniądze. Ale, kiedy zjawia się człowiek, którego zainteresowały obrazki i odznaki, zawieszane w kąci pokoju, świątyni sprzedanej miłości, wyznaje mu wśród łez historię przeszłości, najgłębszych uczuć i przywiązań, tęsknot bezmiernych, kierujących się ze stolicy świata ku Krakowowi.

Cóż to za lud dziwny, którego kobiety nawet w najniższym upadku umieją zachować tak idealne uczucia? Zajął on Francuza. A że w liczbie przodków jego był bohater, który obok Dumourieza, ks. Marka, Puławskiego w konfederacji barskiej walczył, więc nowe wrażenie i stare tradycje wpływają na chęć poznania narodu. Więc—w drogę do Galicji!

Cudzoziemiec poznaje Lwów, Kraków, okolice. I spotyka na swym podróżnym szlaku drugą Polkę, tym razem „mocną dziewczycę”, Anielę. Ona to w szeregu rozmów-wykładów poznaje go z przeszłością, z wielkimi poetami, podaje nawet wyjątki z ich dzieł. Pokochali się—naturalnie. Ale Aniela nie chce iść za obcym; tu, w swoim kraju, ma obowiązki do spełnienia. Musi zostać w swej „chacie”, przy swoim „pasterzu”, któremu siebie przyrzekała.

A Klaudyna tymczasem tęskni, cierpi i nienie—w Paryżu. Cierpienia zawodu miłosnego bohatera kierują go z powrotem. Opiekuje się czule Klaudyną, ale ta umiera z tęsknoty...

Jakiś stary wuj umiera tymczasem i zostawia kawał ziemi siostrzeńcowi. A ten, nawrócony przez Anielę, ucieka od łatwych uciech paryskich, zostaje na tym gruncie, na którym jeszcze przodkowie jego pracowali. Znój trudu codziennego ma ukoić melancholię wspomnień po dwóch Polkach.

Zatem kobieta polska jest motorem książki. Jest także osią, około której obraca się ciekawa przedmowa p. Teodora de Wyzewy. Ciekawa między innymi i dlatego, że nawet wobec tego tematu p. Wyżewski potrafił zupełnie ukryć swoją narodowość pierwiastkową: w niczem nie daje poznać, że o Polsce pisze Polak.

I tu zaczyna się od gloryfikacji kobiety najszej za miłość: żadna tak kochać nie umie, jak Polka. Na drugim planie dopiero znajdziemy trafne uwagi na temat przeważającego u Polaków uczucia miłości ojczyzny. I zarzut pod adresem autora, że za mało uwzględnił czynnik chrystyanizmu w życiu polskim.

P. Wyzewa mówi, że prądy zainteresowania i zapału do spraw polskich są stałe—zwłaszcza we Francji. Istotnie, w tej chwili istnieje prąd taki: projekt pomnika Mickiewicza, numer miesięcznika, poświęcony specjalnie sprawom Polski, książka p. Dauchot—oto objawy i dowody.

Tylko—w książce i przedmowie zbyt wiele miejsca, według mnie, zajmują kobiety polskie. Może to znak czasu, znak, że kobiety współczesne są więcej warte od mężczyzn. A prędzej jeszcze wyraz starego, jak świat, i nieco banalnego wyrazu uwielbienia dla urody Polek.

Nie piszę krytyki książki. Notuję ją, jako objaw przychylności, jako dzieło szczerze przywiązane do Polski Francuza. To, co jest w niej naukowego, jest ściśle i może oddziaływać na czytelnika. Życzyć więc trzeba, aby znalazła najszerze rozpowszechnienie we Francji, a i u nas pewnie nie jeden zechce poznać pracę p. Dauchot.

Nie przeceniajmy sympatii obcych ludów, a zwłaszcza nie budujmy na niej nic zgoła. Ale nie trzeba jej lekceważyć.

LUDWIK WŁODEK.





Scena z „Krysi leśniczanki”. Cesarz Józef II (p. Redo), oficer honwedów (p. Proniewicz), ochmistrzyni (p. Manowska), minister dworu (p. Misiewicz).

WIECZORY TEATRALNE i MUZYCZNE.

Sarah Bernhardt gdy świeżo w Moskwie ujrzała w teatrze Stanisławskiego „Niebieskiego ptaka” Maeterlincka, jęła wołać (najautentyczniej):

— Ależ taką wystawę trzeba koniecznie pokazać—Paryżowi! Jak świat światem, nie wystawiono świetniej i doskonałej żadnego dzieła scenicznego!

Nasz teatr Nowości nie jest teatrem Stanisławskiego; jeżeliby jednak pokazać zagranicą „Krysię leśniczankę”, bynajmniej nie nadzwyczajną operetkę węgierską, ale *taką*, jaką nam daje p. Śliwiński, ręczyłoby można za sukces i uznanie wcale nieprzeciętne.

Wszelako, jeżeli tu oto napiszę, że p. Śliwiński wszystko, co weźmie w ręce i urobi, wydaje... jak na królewski stół, z takim nakładem pracy, pomysłowości i dbałości o „dobry gatunek,” wiem, że dam tylko jeszcze jeden pretekst do biadania, że prasa, w sposób nieobyczajny, „popiera” szefa naszej „lekkiej Muzy” teatralnej.

Miły Boże! Któż co na to poradzi, że taki np. drugi akt „Krysi” służyć może na wzór okazałości dekoracyjnej i staranności reżyserskiej?— a że np. bal u Łarynych w „Onieginie” wymaga gruntownego przereżyserowania? Któż co na to poradzi, że mamy doskonały *ensemble* operetkowy, z pp. Kawecką, Redo etc. etc. na pierwszym planie?— a że np. takiej pani de Anini (Olga w „Onieginie”) nie bardziejoby gdzie puszczone na szanującą się scenę operową?

Chwalić, chwalić i chwalić — na wszystkie (obowiązkowo!) strony, dalibóg, rzeczą jest najłatwiejszą i najwdzięczniejszą. Mniemam jednak, że nie wolno dopuszczać do takiego upadku smaku i krytycyzmu w kulturalnym środowisku, jakim pragnęlibyśmy, aby była Warszawa. Zresztą, bez swobody krytyki niema pochwały rzeczywiście pochwalebnej. Kogóż wieczne bizantyjskie pokłony zadowolą? Chyba nikogo z nas?

Owóż i nie potrzebuję zapewniać, że z całą szczerością, nie krępowaną żadnymi absolutnie względami, zapisuję na tem miejscu, trwające dalej na scenie naszej, zasłużone powodzenie „Pani Butterfly”. Pomimo że w roli głównej zastąpiła Gemmę Bellincioni — p. Marya Mokrzycka? Pomimo. Powiem więcej. Dźwięczność (wokalna), oraz świeżość naturalnego uroku młodości poszły po całej tej historii o prześlizniętej, dziecięcounaiwnej, a nieszczęsnej gejszy japońskiej. Teraz dopiero otrzymaliśmy właściwe, prawdziwe i najzupełniej artystyczne wrażenie, któreśmy dotąd dotwarzać sami sobie musieli. Zaś debiutująca w party Suzuki młodzianka p. Janina Cygańska dopomogła jeszcze do przetransponowania „Madame Butterfly” na—młodość, naturalność i dźwięczność głosową. To też, w chwili obecnej, w oczekiwaniu na przybycie Battistiniego—trzymaj u nas prym w repertuarze operowym „Madame Butterfly”. Niechże się jej jak najdłużej powodzi!

Natomiast koncertowo-muzykalną *pièce de resistance* sezonu stanowią w dalszym ciągu... wysoce poważne koncerty symfoniczne Fitelberga. Nie do wiary! Przez trzy, czasem dłużej, bite godziny sala Filharmonii wyprzedana do ostatniego miejsca, słucha muzyki ciężkiej, zawitej, doskonałej, ale i najwyszukańszej próby—i ani drgnie! Pomyśli kto może, że Warszawa rozporządza paru tysiącami ultra-melomanów. Ach!... statystyka naszej kultury artystycznej nawet nie zabawia się jeszcze takimi ideałami. Przeto, narazie p. Fitelberg cuda czyni. Narzucił Warszawie *modę* symfonicznych koncertów (im „głębsze”, tem miłsze), no i, okazało się, że nie tylko pary-

skie damskie kapelusze mają moc nad nami. Chwała Bogu! Skosztowaliśmy zaś kilka dni temu innego jeszcze wyszukanego specyjału: Teatr Mały puścił się na wystawienie trzech aktów subtelnego Marivaux, granego zrzadka tylko i jako osobliwą celebrytę, na scenie Comédie Française. U nas, w Polsce, pierwsza to była próba odtworzenia oryginalnego „mariwodazu” (*marivaudage*), i za tę już choćby tylko próbę rozszerzenia widnokręgu kultury naszej artystycznej należy się *bona nota* p. Tarasiewiczowi, kierownikowi zastępczo teatru Gawalewicz.

Bo lekceważony nieco Marivaux nie był jedynie układaczem stylowych łamigłówek. Jego igranie z sentymentem, stylizowanym *à la* Watteau i zawikłanym w wyszukaną dyalektykę, ma najrzetelniejsze cechy sztuki.

Marivaux ma naiwność sztuczną, dowcip (*esprit*) najautyczniejszy, a niepowszedni koloryt epoki, wysoce charakterystyczny. To go czyni niepomiernie trudnym do grania, zwłaszcza dla artystów nie-Francuzów. Ale, jak się rzekło, próba zasługuje na pełne respektu uznanie. Należałoby jednak odbywać takie próby w przekładzie polskim możliwie doskonałym. Przekład, użyty przez Teatr Mały, nieodpowiedniem archaizowaniem psuł dotkliwie poglądowy wykład o Marivaux.

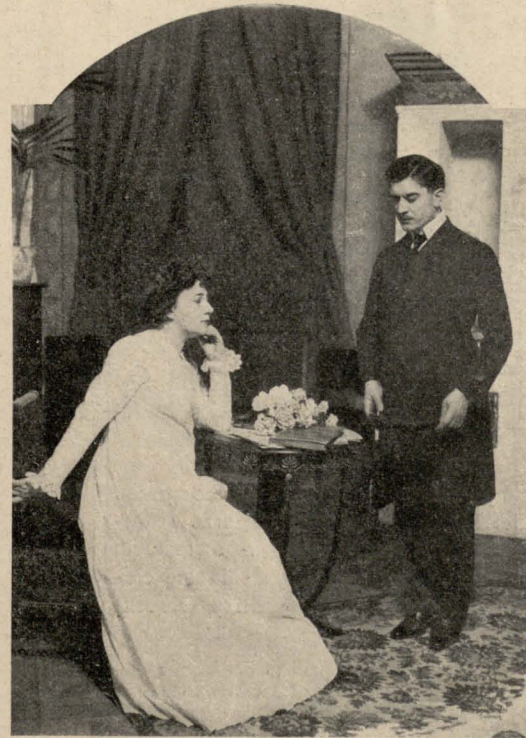
Szkoła Aplikacyjna Teatru Rozmaitości dwa popisy swoje publiczne odbyła ostatnimi czasy, wykazując parę istotnych talentów aktorskich i grając kolejno „Antygonę” Sofoklesa, oraz „Szkołę kobiet” Moliera—w dobrych przekładach (Moliera sztukę tłómaczył sam kierownik Szkoły, p. Kazimierz Zalewski). Ta dbałość o dobry przekład dzieł klasycznych zasługuje na szczerą pochwałę, a i ułatwia osiągnięcie zamierzonego wrażenia.

Lecz „efekt” najświeższy w repertuarze naszym dramatycznym wywołała nowa sztuka Gorcezyńskiego, autora „Bagienka”, „Nocy lipcowej” i „Inteligenta”. Repertuar nasz dramatyczny, po wystawieniu „Smoczego gniazda”, wciąż z żywym zainteresowaniem się oglądanego przez publiczność, zawrócił raptownie w stronę najniemiłosierniejszego realizmu życiowego, współczesnego, oczywiście w myśl maksymy: *varietas delectat*.

„Wyzwanie” Gorcezyńskiego porusza i rozwiązuje jedną z najżywoźniejszych kwestii obyczajowo-moralnych. Czyni zaś to z dezyntolurą i śmiałością, zwłaszcza w szczegółach niektórych, z brutalnością miejscami i surowym cynizmem, z jakimi bardzo rzadko spotkać się można na demonstracjach publicznych. Żadna np. scena angielska nie zdecydowałaby się dać „Wyzwania”. Lecz—nie przeszkadza to bynajmniej, aby w samej Anglii kobiety nie zapomniały się w piękną noc majową i nie stawały wobec „opinii publicznej” skalane wielce „niemoralnym” czynem, pociągającym za sobą niemal „wyświecenie” upadłej sromotnie — z szanującego się i przestrzegającego przepisów moralności społeczeństwa. Gorzej jeszcze: wina matki i jej sromota spadają na całkiem już niewinne dziecko, t. zw. „nieprawę”. Tedy—kobieta odpokutowała za chwilę zapomnie-

nia się: ciężkim cierpieniem, palącym wstydem, wzdargą ludzką; dziecko—całkiem niewinne; a jednak—społeczeństwo nie uwzględnia do końca żadnych okoliczności łagodzących, nie uwzględnia ich aż do nie wiedzieć którego pokolenia.

I owóż przeciwko takiemu porządkowi rzeczy p. Gorcezyński—protestuje. Jego Antośka Krzycka, właściwie mówiąc, nie rzuca bynajmniej „wyzwania” społeczeństwu, nie pozuje na reformatorkę *à la* bohaterki np. pani Sand; ona tylko ukazuje siebie i powiada: patrzcie, jaka dzieje mi się *niesprawiedliwość!* Rzeczą zaś jest widza i słuchacza dośpiewać w duszy—resztę. A ponieważ p. Gorcezyński ukazuje nam kobietę istotnie nieszczęśliwą, a dzielną, a nawet szlachetną (bierze całe dalsze ciężkie życie na siebie, odrzuca „rękę” wracającego do niej, dla obowiązkowego zadostyczynienia, marnego eks-kochanka, podobnie jak wpiersz nie chciała popełnić dość, niestety, pospolitej zbrodni), ponieważ p. Gorcezyński pokazuje nam tę kobietę z dzieckiem na ręku — przeto w sympatyach i współczuciu widzów wygrywa sprawę. Nie wygrywa jej oczywiście wobec zdecydowanych, a *quand même*, obrońców nienaruszalnego ładu i porządku społecznego, nie dopuszczających kobiety do korzystania z niektórych fizjologicznych przywilejów mężczyzn. *Skutki*, powiadają, rozstrzygają kwestyę na niekorzyść kobiet. A zmienić tego porządku rzeczy nie w mocy—ludzkiej. Inną jeszcze piętę achillesową posiada teza p. Gorcezyńskiego. Antośka Krzycka oddaje się Zwolińskiemu pod afektem nie uczucia, lecz wyłączone podniecenia zmysłowego. Ta właśnie okoliczność kompromituje mocno jej sprawę w oczach zwolenników nie tylko absolutnej abstynencji kobiet, ale i ich zmysłowej anestezji do czasu, t. j. do uświęcenia związku legalnego, pozwalającego już, oczywiście—na wszystko.



Scena z „Wyzwolenia” B. Gorcezyńskiego.

Złożmy na tych ołtarzach w ofierze: *po-budki* czynu Antośki. Gdy zaś to uczynimy, pozostanie sztuka całkiem—*moralna*. Kobieta, przyjmująca na siebie odpowiedzialność i ciężar za wszystko, co uczyniła, kobieta bezbronna i słaba, rzucona w istniejące warunki społeczne, nie jest obrazem niemoralnym. Zwłaszcza jeżeli od początku do końca wręcz apoteozuje—macierzyństwo.

Ten jeden ostatni wzgląd mógłby wprost załecić „Wyzwanie” wszystkim scenom—wyludniającej się Francji...

Sztuka napisana z wybitnym talentem pisarskim, znamionująca niezaprzeczony nerw sceniczny, zbudowana wybornie, wyraźna w charakterach, pełna miary w dyalogach, wyposażona w postaci żywe, pomimo konsekwentnego rozwijania „tezy” interesująca we wszystkich scenach—grana jest w Rozmaitościach doskonale.

CZESŁAW JANKOWSKI.

Z OSTATNIEJ CHWILI.



Ranni, porzuceni na ulicach Messyny podczas ponownych wstrząszeń.

25-lecie miesięcznika.

Organ Jezuitów galicyjskich, miesięcznik p. t. *Przegląd Powszechny*, święci dziś 25-letni jubileusz swego istnienia, co zbiegło się z półwieczem kapłaństwa Ojca Świętego. Z tych pobudek redakcja *Przeglądu* wydała obszerny a ozdobny zeszyt jubileuszowy, gdzie prócz artykułów, poświęconych Piusowi X, znalazł się cały szereg życzeń, pozdrowień, wyrazów uznania, nadesłanych redakcji w ten jej świę-



Ks. Maryan Morawski.

teczny anniwersarz, nie tylko przez dostojników Kościoła i pisarzy duchownych, ale i autorów świeckich, z pomiędzy których wyróżnia się ciepłe i serdeczne *dictum* Elizy Orzeszkowej:

„Na ciemnym naszym globie światło niecić, duchy ludzkie z omdleń cucić, z upadków podnosić, po drogach dobra ku temu wieki-stemu źródłisku jego wieść, którem jest Bóg, a od stóp Jego wzbogacone i zmężniałe, na drogi cnoty i pracy prowadzić, zadanie wielkie, trudne, szczytne. Pozwalam sobie w ćwierćwiekową rocznicę istnienia *Przeglądu Powszechnego* złożyć życzenia serdeczne Szanownym Przewodnikom pisma tego i ich dziełu, które niech jak najdłużej i jak najpomysłniej służy zbytnie zaniedbanym dziś sprawom duchowym ludzkości i Ojczyzny naszej, Polski, która tylko w wielkości ducha, w jego sile i w jego czystości wywabienie i odrodzenie znaleźć może.“

Za zasługę redakcji, której ster dzierzył przez długie lata założyciel i gorliwy przewodnik, ks. Maryan Morawski T. J., a po jego zgonie do dzisiaj ks. Jan Pawełski T. J., poczytać należy to, że nie zasklepiła się bynajmniej w sprawach konfesyjnych, ale dała szeroki dostęp zagadnieniom nauki, zwłaszcza historii i literatury; te 300 zeszytów *Przeglądu* to bogaty skarbiec wiadomości do dziejów naszego narodu.

PRZEGLĄD PRASY.

Bogata i urozmaicona treść grudniowego zeszytu *Biblioteki Warszawskiej* świadczy o niezmożonej żywotności tego nie starzejącego się, mimo 68 lat istnienia, miesięcznika. Na czele czytamy głęboki artykuł p. B. Koskowskiego, p. t. „Turcyja w Azji,” roztrząsający wszechstronnie kwestyę wschodnią, a zakończony takim uogólnieniem:

„Jesteśmy obecnie świadkami poruszania się świata muzułmańskiego. Ostatnie wypadki w Persyi, ruch arabski w Syrii i w Jemieniu, propaganda nacjonalistyczna w Egipcie, może nawet zwycięstwa Mulej-Hafida w Maroku świadczą o tem wymownie. Żywiół turecki także okazał świeże nowe zasoby energii i żywotności. Czy okaże się zdolnym do opanowania wszystkich tych przebudzeń na swą korzyść? Trzeba pamiętać, że do skomplikowania zagadnienia przybawają nowe czynniki: zmiana polityki angielskiej na Wschodzie; powstanie ambicyj niemieckich; zejście prawdopodobnie Rosyi z roli biernej; uorganizowanie się nowych sił czynnych, zwłaszcza Bulgaryi. Wszystko to daje „kwestyę wschodnią” nowe oblicze i czyni ją najbardziej skomplikowaną ze współczesnych zagadnień politycznych.“

Prawdziwą ozdobą zeszytu są przepiękne stances ostatniej pieśni „Pana Balcera w Brazylii” M. Konopnickiej, jak niemniej wyborne studium prof. S. Askenazego o „Pierwszym syoniście polskim”; na wysokim też poziomie literackim stoją inne rozprawy: A. Kreczowieckiego: „O Cypryianie Norwidzie”, W. Bogusławskiego: „Wiktoryn Sardou”, J. Kaczkowskiego: „Ruch umysłowy w Niemczech“.

Ostatni zeszyt roczny zeszytu *Sfinks*a zaleca się, jak zwykle, bogactwem treści i starannym doborem. Ze słuszną więc dumą zwraca się redakcja w słowie wstępnym do swych przyjaciół i czytelników z przypomnieniem owoców całorocznej pracy w trudnych niezmiernie warunkach.

Pod auspicjami Maryi Konopnickiej wydano ten zeszyt: jej go portretem ozdobiono, piękne o niej studium zamieścił na czele redaktor Wł. Bukowiński. Na całość zeszytu, urozmaiconego licznymi dodatkami artystycznymi, składają się, prócz dalszych ciągów powieści Z. Rygier-Nałkowskiej i T. Micińskiego, ocen i sprawozdań i felietonu: „Na fali”, Wł. Bartkiewicza: „Słów parę o twórczości Milтона”, ilustrowane wyborem przekładem z „Samsona Silnego”, Heleny Duninówny: „Mickiewicz a ideały Szyllera”, Józefowej Kotarbińskiej: „Ze wspomnień o Adamie Asnyku”. Społeczeństwo nasze, jeżeli chce trwać na poziomie

kultury europejskiej, nie powinno odmówić swego poparcia czasopiśmu, które służy Pięknu bezinteresownie a wytrwale.

Z pod pióra.

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER.

Korzystamy z kilkodziennego pobytu w Zakopanem, by odwiedzić stale tam przebywającego Tetmajera i rozpytać go o przyszłe zamiary literackie.

— Pracuję obecnie — zwierza się nam autor „Skalnego Podhala” — nad powieścią historyczną „Maryna z Hrubego” dla *Głosu Warszawskiego*.

— Więc o Kostce Napierskim. Czy pomysł pański ma co wspólnego z dramatem Kasprowicza: „Bunt Napierskiego“?

— Nie wiem. Dramatu Kasprowicza nie czytałem. I to umyślnie. Nie chcę bowiem uzależniać swej wyobraźni od jakichkolwiek wpływów zewnętrznych, literackich. Zresztą, nie o samego Kostkę mi chodzi; jest on w powieści mojej postacią epizodyczną. Moim celem będzie odtworzenie przeszłości ludu podhalańskiego, pragnę dać szereg typów, zamykających w sobie najistotniejszą treść psychy chłopskiej, odwiecznej i tajemniczej.

— A źródła?

— Przedewszystkiem — te kilkanaście kartek szkicu Kubali o Napierskim, na których osnuł podobno swój dramat i Kasprowic; potem, archiwum nowo-sądeckie, zawierające nieznanne dokumenty do tej ciemnej sprawy; wreszcie moje osobiste przeżycia, wyniki tyloletniego obcowania z ludem Podhala, wśród którego urodziłem się i wychowałem.

— Przywiązanie moje do tego przedmiotu — mówił z coraz rosnącym zapałem — to nie rezultat wyboru literackiego lub mody „tatrzańskiej”, która zresztą przysłała o wiele później. Mam to we krwi. Kocham Tatry i lud góralski — tych starych gazdów, żyjących jeszcze dawną mową i dawnym obyczajem, nie tych po zbójnicku stylizowanych, karmiących się ochłapami cywilizacji, o zepsutej duszy młodzieniaszków — kocham z namiętnością, że tak powiem, kolekcjonisty, i stąd idą moje utwory „góralskie”, wierszem i prozą, a zwłaszcza „Na skalnem Podhalu”. Pragnę zachować w czystości, na pamiętkę przyszłych pokoleń, tę gwarę i te obyczaje, zanikające pod wpływem szkoły, wojska, obcowania z przyjezdnymi „inteligentami”. Tak! ta kultura podhalańska skazana jest na zagładę — i pragnę te resztki ocieplić dla potomnych, jak Mickiewicz ostatki szlachty w „Panu Tadeuszu“.

— Czy dąży pan do stworzenia odrębnej literatury gwarowej, na wzór *langue d'oc'u* lub *plattdeutsch'u*?

— Bynajmniej! Lud góralski książek tych czytać nie będzie, za mało ma na to oświaty. A jednostki z pośród niego, osiągające wyższe wykształcenie, że tak rzekę, „wynaradawiają” się, tracąc poczucie wspólności z pniem rodzimym kultury ludowej. Czy pan uwierzy, że pisarze z pośród ludu — tu wymienił kilka znanych nazwisk — zapominają swej mowy ojczyściej?

— I nie od dziś, nie od wczoraj — mówi dalej — pracuję nad tym przedmiotem. Muszę sobie przyznać zasługę, której mi stale wielu odmawia, że pierwszy wprowadziłem Tatry i Podhale do literatury. Dziś właśnie — a było to w ostatni dzień ubiegłego roku — upływa lat 22 od czasu, gdy rozpoczął działalność literacką nowellą tatrzańską p. t. „Rekrut”, i to był właśnie początek „taternizmu” w literaturze, na pięć lat przed Witkiewicza „Na przełęczy“.

— A jakie są dalsze pańskie zamiary?

— Przedewszystkiem dramat o Kostce Napierskim, w którym raz jeszcze chcę zawrzeć całą psychologię ludu tatrzańskiego, całą głębię jego myśli i uczuć. Napierski będzie tu znowu tylko epizodem.

— A powieści społeczne?

— Myślę i o tem. Najbliższym moim utworem w tym zakresie będą „Rządy świata”. Odtworzę tu, podobnie jak w „Królu Andrzeju”, w sposób poniekąd, a raczej z konieczności alegoryczny, kto i jak rządzi losami narodów: a więc nie tylko biurokracya, ale i szlachta, duchowieństwo, plutokracja. Czyż nie bywa tak np., że jakiś bankier lub kokota powodują wybuch wojny pomiędzy narodami, które w gruncie rzeczy nie mają względem siebie żadnej nienawiści? Tak właśnie rozumie „rządy świata”. Ale to wszystko jeszcze na później. Tymczasem — powieść i dramat o Kostce Napierskim.

— A dalsze serye „Skalnego Podhala”? — spytałem na rozstaniu.

— Obecnie nie myślę o tem. Zdaje się, że poprzestanę na czterech. GAMMA.

ZE SZTUKI.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, zgodnie z życzeniem właścicieli zakładów graficznych pp. F. K. Ziółkowskiego i Sp. w Pleszewie

w W. Ks. Poznańskim, ogłasza ponownie konkurs na obraz lub rysunek, którego przedmiotem ma być „Apoteoza Słowackiego”. Termin nadsyłania prac — 31 marca r. b., godz. 2 p. p.

Drugi konkurs malarski ogłasza Warszawskie Towarzystwo Artystyczne na plakat reklamowy browaru parowego p. t. „Haberbusch i Schiele” z terminem 1 marca r. b.

Zaczyna się interesować sztuką i prowincya, co uważamy za fakt nader pomyślny. Bo oto dochodzi nas wieść, że w końcu b. m. w Kamieńcu urządzona będzie wystawa obrazów i starożytności, która już teraz zapowiada się bardzo interesująco. Poczynanie godne pochwały!

Artykuł nasz o restauracyi Wawelu, zamieszczony w numerze 1 *Tygodnika*, uzupełniamy wiadomością, że p. Jerzy Warchałowski, występujący w *Architekcie* przeciwko projektowi przeprowadzenia na całych krużgankach szerokiego fryzu kolorowego, nie przypisywał bynajmniej tego pomysłu p. Hendlowi, zaznaczając wyraźnie, że „nie wiadomo, czy pomysł ten podziela kierownik restauracyi.“

ZMARLI.

BALBINA ZALEWSKA, wdowa po znakomitym obrońcy, mecenasie Stanisławie Zalewskim, a matka znanego komedyjopisarza, krytyka teatralnego i redaktora *Wiek*u, Kazimierza Zalewskiego, zmarła w ubiegłym tygodniu, w sędziwym wieku, do-



Balbina Zalewska.

żyła bowiem lat przeszło ośmdziesiąciu. Nieboszczka znana była w szerokiach kołach towarzyskich i odznaczała się wielką dobroczynnością, oraz żywym udziałem w sprawach społecznych naszego miasta.

WALERYAN LEŚNIEWSKI. Mamy do zanotowania śmierć jeszcze jednego weterana z roku 1831. Waleryan z Obór Leśniewski urodził się w Woli Okrzejskiej gub. siedleckiej pow. łukowskiego w roku 1813, z ojca Krzysztofa, wojska z czasów kościuszkowskich, i matki Ludwiki z hr. Van der Noot; wychowywał się w korpusie kadetów w Kaliszu. Po wybuchu rewolucyi roku 1830, gdy korpus kadetów rozwiązano, s. p. Waleryan wstąpił w szeregi walczących, jako oficer.



Waleryan Leśniewski.

Po odbyciu krótkiej kampanii wojennej znalazł się w Galicyi, gdzie, ożeniony z panną Anielą Chrzastowską ze Szczepanowic, osiadł w Tarnowskim na roli. W czasie powstania 1863 roku dom Leśniewskich poniósł duże materyalne ofiary, a dwór ich pełen był powstańców, których żywności, ubierała i dopomagała wszelkimi sposobami. Po śmierci żony w roku 1897 s. p. Waleryan, jako bezdzietny, porzucił gospodarstwo, przenosząc się do Krakowa, do krewnych, na mieszkanie. Ostatnie miesiące życia spędził w domu siostrenicy swojej, p. Wandy Bogdańskiej w Izdeburku koło Kalwarii Zebrzydowskiej. Pochowany został obok żony w Szczepanowicach. M. O.

REKLAMY

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,
przesła na własność
GEBETHNERA i WOLFFA.

ALEXANDER KRAUSHAR:

Nieznana kartka z życia Narcyzy Żmichowskiej.

(1844—1850).

2)

Ten to nieszczęśliwy zadenuncyował Ściegiennego.

W końcu owego listu Zbyszewska z oburzeniem pisze o Heliodorze Jankowskim, iż wstąpił do służby w wojsku rosyjskiem.

W liście z 15 grudnia, datowanym z Kurowa, włości rodziców swoich, do Żmichowskiej pisała Zbyszewska:

„Proś, by Słomczewski rozmówił się z Władysławem”.

Na zapytanie komisji co do tego punktu, odpowiedziała Zbyszewska, iż nie pamięta ani interesu, do którego to się odnosiło, ani też tego, kto jest Władysław.

Badana w tej mierze Żmichowska zeznała, iż wyrażenie się Zbyszewskiej oznacza: aby Słomczewski skłonił swego znajomego Władysława Bentkowskiego w Berlinie do wydrukowania nut kompozytorki Zbyszewskiej.

Komisja śledcza, uważając owo wyjaśnienie „za niezgodne z prawdą”, czyniła Żmichowskiej stosowne refleksje, „lecz to nie poskutkowało”.

Następnie prosiła Zbyszewska o dostarczenie jej papieru do napisania niektórych wyjaśnień, uzupełniających zeznania ustne, co gdy uczyniono, okazało się, że wyjaśnienie owo zgadzało się najzupełniej z zeznaniem Żmichowskiej, to zaś naprowadziło Komisję na podejrzenie, iż „Żmichowska i Zbyszewska, jakkolwiek zostają pod aresztem w klasztorze Karmelitek w Lublinie i są umieszczone w oddzielnych celach, muszą mieć z sobą po każdym badaniu komunikację”.

Twierdziła początkowo Zbyszewska, iż zasady demokratyczne są jej zupełnie nieznanne; następnie we własnoręcznym protokole napisała, iż podczas podróży swej po Włoszech, między latami 1839—1842, poznała w Rzymie emigranta polskiego, Walerego Wielogłowskiego, który, wychwalając instytucje i hierarchię kościoła, mówił o szczęściu jednakim dla wszystkich ludzi, o miłości i miłosierdziu bez granic i to nazywał prawdziwą demokracją, czyli demokracją katolicką. Wpajane przez Wielogłowskiego zasady owego demokratyzmu, którego głównym fundamentem była powszechna szczęśliwość ludzka, przyjmowała do głębi serca i starała się przejąć temi zasadami, lecz później, przekonawszy się, iż owe wyobrażenia nie mogą się urzeczywistnić, odstąpiła od nich. Prócz tego, w książce, wydanej przez Wielogłowskiego pod tytułem: „Polska Chrystusowa”, którą czytała w roku 1847 za granicą, zauważyła, iż Wielogłowski odstąpił od swych poprzednich zasad religijnych, albowiem do religii wmieszał politykę.

Wyjaśniwszy okoliczności powyższe, Komisja w raporcie, przesłanym Namiestnikowi Paskiewiczowi, zaopiniowała:

1) iż Zbyszewska jest zagorzałą zwolenniczką demokratyzmu, kiedy ducha jego nazywa świętym i jeżeli z takim uwielbieniem mówi o duchu człowieka, którego sama uważa za istotnego demokrate.

2) że widocznie jest fanatyczną patriotką polską i w tym względzie przyznaje pierwszeństwo Żmichowskiej, dążenia zaś ich obu były polityczne.

3) że Zbyszewska i Żmichowska miały znajomość ze znanym buntownikiem, demokratą i demagogiem Libeltem, że ów Libelt i komitet demokratyczny proponowali Żmichowskiej objęcie kierownictwa nad Instytutem polskim wychowania pańien, którego urządzeniem w Poznaniu zajmowało się towarzystwo demokratyczne.

4) że Zbyszewska, chociaż już wiedziała, iż Libelt należy do wichrzycieli politycznych, jednakże usilnie radziła Żmichowskiej, aby też uprzednio rozmówiła się z Libeltem i bez jego porady niczego nie przedsięwzięła w sprawie wychowania „przyszłego pokolenia”, co do czego Żmichowska plan już przygotowała.

Ponieważ urządzeniem owego Instytutu zajmowali się: Libelt i Komitet demokratyczny, przeto nie inaczej sądzić należy, jak tylko, że szczególnie miano na celu wpojenie w dzieci zasad demokratycznych i zapewne Żmichowska dostatecznie przeniknięta jest owymi zasadami, skoro ją uznawano za odpowiednią do objęcia posady przełożonej tego



ŻMICHOWSKA W WIĘZIENIU. *)

Instytutu. O tem bez wątpienia wiadomo było i Zbyszewskiej, skoro w liście do Glogerowej wyraziła opinię, iż sporządzonego przez Żmichowską planu wychowania pańien nie będzie można od razu wprowadzić w wykonanie. Wbrew temu Zbyszewska przy początkowych badaniach twierdziła, iż o żadnym planie nie słyszała. Następnie zaś, chociaż przyznała, iż plan pomieniony czytała, lecz nie chciała wyjaśnić, jakie mianowicie przedmioty owego planu nie mogły być zaraz wprowadzone w wykonanie.

5) Wyjątki z listów Zbyszewskiej nasuwają podejrzenie, „iż Żmichowska zajmowała się pisanem dzieł w duchu demokratycznym i wynurzała w nich opinie polityczne”.

6) Inne listy Zbyszewskiej stanowią dowód jej nieprawomyślności, albowiem wyraża w nich ubolewanie nad dołą „głównego buntownika, księdza Ściegiennego, i nad należącymi do jego bandy”, żałując, iż powzięte przez nich działania wichrzycielskie nie miały pomyślnego skutku; nazywa „niezadowolonym” owego chłopca, który doniósł władzy „o działaniach buntowniczych spiskowców”, jak gdyby mu wyrzuciła to, „iż ściśle spełnił obowiązek dobrze myślącego człowieka i wiernego poddanego”; przedstawia, że władza będącemu w więzieniu księdzu Ściegiennemu okrutne zadaje męki, i z oburzeniem mówi o Jankowskim, iż wstąpił do szeregów wojska rosyjskiego.

Ponieważ list Zbyszewskiej zawiera w sobie wiadomości polityczne, między którymi bardzo szkodliwe, o duchu, panującym między chłopami, prócz tego, ponieważ radzi Żmichowskiej, by „konieczności nie wystawiać za cel” i na dowód zasadności owego zdania przytacza przykład upadku działań Ściegiennego, przeto nie inaczej sądzić wypada, tylko, że wszystkie owe wiadomości przesłano Żmichowskiej zagranicę w złym zamiarze i w celu politycznym.

„Wreszcie—tak kończy się raport—ma zaszczyt

*) Rys. K. Gorskiego do pów. T. J. Papi p. t. „Gabryela”.

Komisja przedstawić Waszej Książęcej Mości, iż Zbyszewska prawie we wszystkich swych listach używa wyrazów: „siostry, bracia”, to jest wyrażen, przyjętych przez demokratów, że nadto osoby, wymienione w owych listach, z którymi tak ona, jako też i Żmichowska, porozumiewały się w W. Księstwie Poznańskiem, jako to Libelt, Moraczewski, Marcinkowski, Racyński i Słomczewski, należeli czynnie do wynikłych tam zaburzeń. Prócz tego były one w blizkich stosunkach ze znaną Skimborowiczową, a Żmichowska i z temi osobami, które obecnie pozostają uwięzione w Warszawskiej Aleksandrowskiej Cytadeli”.

* * *

Po otrzymaniu odpisu protokołu śledztwa Jan Hrabia Jezierski, marszałek gubernialny szlachty lubelskiej, w memoryale z marca 1850 r., przedstawionym feldmarszałkowi Paskiewiczowi, upewnił feldmarszałka, iż wszelkie zarzuty, w nim uczynione, nie są tej natury, by mogły pociągnąć za sobą poważne następstwa, i dlatego prosił feldmarszałka o pobłażanie.

Odpowiedź hr. Paskiewicza z d. 15 marca 1850 r. za Nr. 284, hr. Jezierskiemu udzielona, jakkolwiek uczyniła zadość prośbie marszałka, nacechowana była gniewnym nastojem.

„Dozwalając pannie Zbyszewskiej powrócić do domu rodzicielskiego—pisał między innymi feldmarszałek—rozkazałem doręczyć Panu dowody winy owej kobiecie, abyś Pan mógł się przekonać, jak mało zasługuje na względy, które jej Pan okazujesz.

„Innego celu w zakomunikowaniu Panu owych dowodów być nie mogło, ponieważ sąd o postępach owej kobiety do Pana, jako do marszałka szlachty, nie należy.

„Bez względu na to podałeś mi Pan formalny raport, rozstrząsający działalność Komisji śledczej i dający zupełną wiarę zeznaniu panny Zbyszewskiej, która, według Pana, nie tylko że jest niewinną, lecz prawie świętą. Z taką stronnością dla niej, nie upatrujesz nawet winy w tem, że gani ona denuncyację pocziwego włościanina, który wykrył zbrodnicze zamiary niejakiego Ściegiennego, bez względu na to, że celem owych zamiarów było wytępienie współbraci Pańskich, właścicieli ziemskich, i że tylko czujność władz miejscowych uchroniła kraj tutejszy od klęsk, które Galicyę dotknęły”.

(podpisano) *Namiestnik,
Jenczał Feldmarszałek Książę Warszawski*”.

Jednocześnie i Narcyza Żmichowska odzyskała wolność, ale w zapatrywaniach jej na tak zwany demokratyzm, począwszy od roku 1850, nastąpiła stanowcza zmiana, którą Chmielowski w życiorysie Gabryeli („Autorki polskie”, str. 35) przypisuje spotęgowanej po roku 1850 we wszystkich krajach europejskich reakcyi. „Wówczas to—pisze—idee demokratyczno-postępowe straciły zupełnie prawie na cenie, a konserwatyzm zapanował nad umysłami. Zwrot ten w pojęciach autorki „Poganki” ujawnił się w sarkazmie, z jakim traktować zaczęła całą sferę stosunków społecznych, które, pochłonawszy śmiałych Prometeuszów myśli, stały się okropnie prozaicznymi, okropnie utylitarnymi”.

Rezultatem poglądów Żmichowskiej na zmianę wyobrażeń i dążności społeczeństwa stała się głośna poetyczna jej satyra pod tytułem: „Adeodat”.

Pan Apolinary liczył na płomienne powołanie, które odnalazł w sobie nagle przed paru laty, na swoją gwiazdę. Tak—wygłosi odczyt o Unii... Szkoda, że do 500-tnej rocznicy Horodła jeszcze kilka lat... Tak długo czekać nie można—zachodzi pilna potrzeba.

Przygotowywał się więc gorliwie. Siedział w księgach i broszurach i tego dnia, na który przyjazd swój zapowiedział Kazimierz Rokszycki.

Z radosnem uczuciem powitalnem posunął się pan Apolinary ku drzwiom, do których zapukano dyskretnie. Ale na progu ukazał się mężczyzna starszy, bardzo wysoki, wcale nieznamy.

— Czy Apolinary Budzisz?—zapytał lakonicznie gość.

— Tak jest, do usług.

Z potężnych bar, pochyłych, zdawało się, nie przez trud wieku, lecz przez zwyczaj spoglądania z wysokości, wynurzała się do pana Apolinarego wielka głowa jasnowłosa z rozrzuconymi zagadkowo oczyma.

— Syn Franciszka? — badał dalej dobrotliwy olbrzym.

Pan Apolinary potwierdził znowu i patrzył, tracąc swą przyrodzoną fantazję pod wpływem ciekawości i magnetycznego spokoju, bijącego od ogromnej postaci gościa.

— Poznać to mnie nie możesz, kochany...

Budzisz zachnął się trochę na taką pufałość, pierś wydał, a twarz pochylił, wydając skupienie myśli przez fałd podbródka. Jakiś zapomniany kolega szkolny, czy co? I rzekł po chwili:

— Ale z kimże nareszcie mam zaszczyt?

— Jestem Hieronim Budzisz.

— Budzisz?!

— A tak, kochany. Z linii litewskiej, syn także Hieronima, wnuk Michała. Wypadasz mnie stryjecznym wnukiem.

Teraz dopiero pan Apolinary roztępał i postąpił zwawo ku krewnemu, natężając instynktowo mięśnie, aby sprostać uściskom olbrzyma. Ale stryjeczny dziad objął lekuchno wnuka i przychylił delikatnie szorstką twarz do pocałunku.

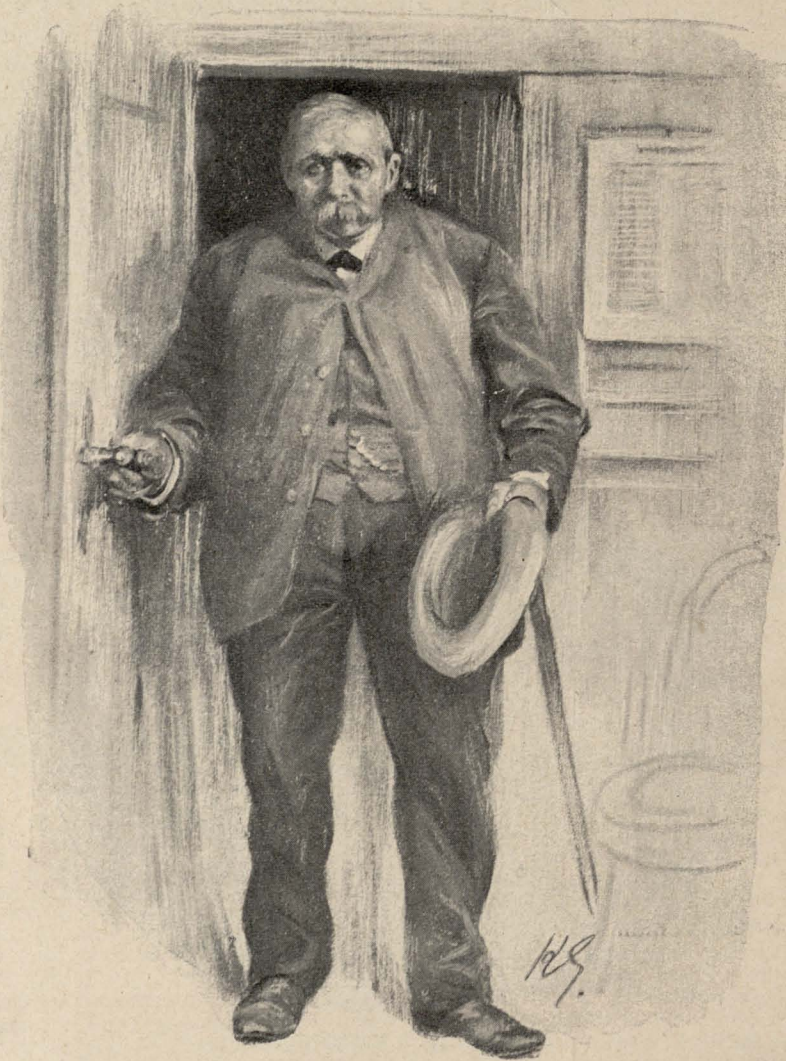
Apolinary usadowił Hieronima na fotelu. Dwa dojrzałe owoce szczepu Budziszów herbu Paporona oglądały się nawzajem, radując oczy rozdwojonym z jednego pnia rozkwitem.

— To mieszkasz, dobrodzieju mój, w Wyszonach?

— W Wiszunach — poprawił Hieronim.

— A dzieci już doroste?

— Jedną mam córkę, Aldonę. Lat dwadzieścia.



Na progu ukazał się mężczyzna starszy...

K. GORSKI

— A ja jednego syna.

— Wiem, Jan jemu na imię; w szkołach jeszcze.

— A tak, dobrodzieju mój. Widzę, że interesują cię losy naszej rodziny. Ale mało już nas, Budziszów-Paporonów, na dawnym obszarze Rzeczypospolitej!

— Mało nie mało. Na Litwie samej są jeszcze dwa domy, oprócz mojego.

Pan Apolinary potakiwał w milczeniu, nie będąc zupełnie pewny imion Budziszów litewskich, odłączonych jeszcze w końcu XVII-go wieku od pnia koronnego. Pan Hieronim wyliczył powoli, sumiennie wszystkich przedstawicieli swego nazwiska, na kuli ziemskiej istniejących, z krótką o każdym wiadomością historyczną. O Apolinarym był tak dobrze powiadomiony, aż zawstydził krewnego, który nie mógł mu wypłacić się wzajemnością.

— Ależ jesteś prawdziwym skarbnikiem pamiątek naszych, Hieronimie dobrodzieju!

— Wiele ja tobie jeszcze pamiątek pokazę, bracie Apolinary.

— A to jakich?

— Obaczysz, gdy przyjedziesz do Wiszun.

— Radbym serdecznie, dobrodzieju kochany, nie wiem tylko, czy mi moje zajęcia pozwolą.

— Toż byłby grzech, gdybyś nas nie odwiedził. Zajęcia masz tutaj? wszak prawda?

— Ma się rozumieć. Przyjechałem do was, na Litwę, aby się z wami porozumieć i naradzić o przyszłości. Czekam na parę osób w Wilnie.

Hieronim kiwnął głową łagodnie i oczy odwrócił obojętnie, jakby na znak, że dopytywać się nie chce. Ale Apolinary intuicyjnie dojrzał w litewskim pobratymcu źródło powiadomień pewnych, wcale nie w rodzaju Fedkowiczowskich. Pośpieszył je wyzyskać:

— Czekam głównie na Eustachego Chmarę. Przecie to jeden z najruchliwszych u was ludzi?

— Wiadomo.

— I ma wielki wpływ na sprawę krajową?

— Wiadomo.

— Coś nie chcesz, Hieronimie dobrodzieju, udzielić mi swej opinii o Chmarze?

— Skoro sam wiesz, kochany, tak cóż ja powiem? A chcesz jego spotkać, wszak on u siebie w Rarogach, o trzy mile od Wiszun.

— Doprawdy? To może i wiesz, czy tam ma pozostać, czy wybiera się do Wilna?

— Teraz on tam, bo w przyszłym tygodniu nasz zjazd rolniczy u niego.

— A cóż mi Fedkowicz prawił, że Chmarę sprowadzi jutro depeszą do Wilna?

— Fedkowicz Litawor?

— Aha.

— Pan Litawor może się omylił. Ja wiem, bo przedwczoraj widziałem Chmarę.

— To cenna dla mnie nowina. I zjazd ziemiański radbym bardzo zobaczyć.

— Przyjedź do Wilna, to i razem pojedziem do Rarogów.

— To się składa wybornie, Hieronimie dobrodzieju.

W tej chwili zapukano do drzwi energicznie, i po zwykłym „proszę” wszedł do pokoju piękny mężczyzna, jaśniejący młodą siłą.

— Kazik!—zawołał pan Apolinary z akcentem niemal rodzicielskim i ucałował syna przyjaciela w aksamitne, krótko strzyżone włosy, podczas, gdy Rokszycki schylił się do jego ramienia.

Zapoznał następnie Kazimierza z Hieronimem. Litwin przywitał się uprzejmie, ale w milczeniu i nie okazując pozornie chęci bliższego poznania nowego gościa z Korony. Przeciwnie Rokszycki z otwartą ciekawością przyglądał się niepospolitemu okazowi litewskich Budziszów. I Apolinary nie mógł powstrzymać swej serdecznej wymowy:

— Trafiasz, Kaziu, na uroczystość fa-

milijną skojarzenia dwóch nie znających się dotąd przedstawicieli naszego rodu. Brat Hieronim potężnie przedstawia gałąź litewską, co?

Kazimierz uklonił się powtórnie z uprzejmym uśmiechem, a Hieronim rzekł żwawiej, niż dotąd:

— A toż panowie raczej jesteście osobliwościami na Litwie. My tu wszyscy jednakowi.

— Skoro tak, to górą Litwa! — zawołał pan Apolinary i ponownie uściskał krewnego.

— Czy zastałem jeszcze w Wilnie pana Fedkowicza, o którym mi wuj doniósł? — zapytał Kazimierz Apolinarego.

— Jest. Wczoraj jeszcze nakładł mi w uszy tyle lnu, że ledwie nie ogłuchł.

— Zajmują go głównie przeróbki lnu, o ile zrozumiałem z depechy?

— Len wogóle, dobrodzieju mój. Historia lnu, przyszłość lnu, uprawa, zastosowania...

— Więc i uprawa?

— Naturalnie. Tylko mi się zdaje, że on sam lnu nie produkuje. Czy ma posiadłość ziemską? Wiesz może, panie Hieronimie?

— Nie ma.

— To szkoda — rzekł Kazimierz — ja chciałbym także obejrzeć najlepsze pola lnu, zbiory, moczenie, mendlenie. Zajmuje mnie, oprócz wyrobów ze lnu, także sama roślina i włókno.

— Tedy trzeba panu jechać w nasze strony, gdzie królestwo lnu.

— To jest dokąd, jeżeli wolno spytać?

— Ot, choćby do Wiszuni.

Pan Apolinary zawołał rozpromieniony:

— A to widocznie opatrnościowe spotkanie! Przyjeżdża nas tu dwóch na Litwę z rozmaitymi zamiarami, szukamy wiatru w polu, dobrodzieju mój, a to, czego szukamy, leży zebrane w jego siedzibie, w Wiszunach! Ja tam jadę, Kaziu.

— Przyjeďte panowie obaj — odezwał się Hieronim.

Rokszycki odpowiedział ceremonialnie:

— Poczytałbym sobie za zaszczyt poznać pańską siedzibę.

— To pan i poznaj. U nas bez fanaberyi, panie łaskawy, obyczaj stary.

— Przyjmujemy zaproszenie obaj — rzekł śpiesznie pan Apolinary. Kazimierz to syn przyjaciela, sam przyjaciel i najlepsza krew nasza.

— Ja nie wątpię, kochany. Nazwisko znam z ksiąg, a osobę rad jestem poznać.

Po ustaleniu koneksyi, komitywy i zamiarów urosło wzajemne zadowolenie. W Hieronimie można je było zauważyć po krótkim pociąganiu nosem i nikłych przebłyaskach uśmiechu. Dwaj zaś koroniasze coraz radośniej stwierdzali, że losy ich wyprawy na Litwę skupiają się około osoby i siedziby Hieronima Budzisa. W ciągu rozmowy coraz nowe czyniono odkrycia.

— To mówisz, bracie dobrodzieju, że ruch litewski trzeba także zobaczyć tam, gdzie czyni największe postępy, około Wiszuni?

— Ja mówię, że mieszkamy pośród ludu czysto litewskiego.

— Więc gdzie najwięcej ludu litewskiego, tam i najgorętszy ruch być musi?

— Lud jest, ale ruchu to jakby nie było. Ot, jaka sztuka.

— Więc pan jest zdania — odezwał się Kazimierz — że ruch młodo-litewski jest wywołany sztucznie?

— Wieleby o tem gadać. Obaczycie na miejscu. A już najlepiej to wam opowie moja córka.

— Zajmuje się ludem?

— My zawsze z ludem. Tylko, wiadomo, młodzi po swojemu...

— Pannę Aldonę zostawiłeś w Wiszunach?

— Jest ze mną w Wilnie. Chodzi po mieście i robi pokupki.

— A tożbyśmy pomogli! — zawołał wesoło Apolinary, podczas gdy Kazimierz wstał z krzesła i spojrzął przez okno, aby ukryć napad śmiechu.

— Jej pomagać nie trzeba; umie sobie radzić. Wróci do domu, gdy skończy... „zakupy” — odrzekł uważny Litwin, wyciągając z kamizelki zegarek.

— A gdzie mieszkacie?

— W jednym z wami hotelu.

— Oddawna?!

— Od wczoraj, kochany. My tu, Budziszowie, zawsze stajemy kwaterą. Służba powiedziała wczoraj, że jest w hotelu Budzisz Apolinary, tak ja przyszedłem dzisiaj poznać się.

— Błogosławiony wypadek, panie Hieronimie! Możemy wszyscy razem spotkać się na kolacyi?

— Wiadomo, wieczerzę można zjeść razem.

Rozstano się na parę godzin. Po wyjściu Hieronima Kazimierz pozostał w pokoju Apolinarego.

— A co? — rzekł pan Apolinary — jakże ci się podoba pobratymiec?

— Pyszny Litwin, wuju, i może rozumniejszy, niż się zrazu wydaje.

— Może być. U nas, Budziszów, rozum zwykle bardziej w głębi leży, niż po wierzchu, dobrodzieju mój.

— Ależ tamten wcale do wuja niepodobny.

— Prawda, że to już około trzech wieków... Zawsze jednak pozostał w nas jakiś typ wspólny, rodzinny, co?

Stali we środku pokoju, więc pan Apolinary zwrócił się do lustra, zawieszzonego nad komodą, i pociągnął za sobą Kazimierza. Wydał pierś i spojrzął na swój konterfekt wprost, okazały i zamaszysty. Potem odwrócił się trochę bokiem, przyczem za jaśniał w lustrze fragment sporej łysiny.

— Tak, obaj już postarzeliliśmy.

Gdy to mówił, stosując uwagę do Hieronima, spojrzął na sąsiadujące w lustrze odbicie postaci Kazimierza Rokszyckiego. Ten stał z rękoma w kieszeniach spodni, prosty, jak trzcina, wyższy o pół głowy, a na czerwonych ustach, wśród lekkiego, jedwabnego zarostu igrał mu uśmiech pogodnie wyzywający.

— Nie płacz mi się tutaj, smyku! — zawołał Budzisz, dając przyjaznego szturchańca w bok Rokszyckiemu.

Kazimierz przegiął się i odskoczył elastycznie.

— Porównywałem, o ile wuj podobny do tego litewskiego smoka. Ani trochę. Wuj jest dużo misterniejszego rysunku, wygląda młódziej i tak coś, coś...

— No, no! dosyć! schowaj swoje komplementy. A teraz ruszaj sobie, gdzie chcesz, a ja się zdrzemnę, aby świeżej wyglądać przy kolacyi. Będziemy z damą, pamiętasz?

Wieczorem, w osobnym pokoju restauracyi, siedzieli już pospołu dwaj Budziszowie, po wódce przegryzając litewską, smakowitą, pachnącą jałowcem wędliną, gdy weszli razem Kazimierz z Aldoną, widocznie zaznajomieni: za drzwiami słychać już było ich zmieszane głosy. Tu po raz pierwszy ujrzał kuzynkę pan Apolinary.

Wzrostem tylko wysokim i bujnością postaci przypominała ojca; ale bujność ta była zgrabnie ograniczona przez rozkwit pierwszej młodości. Rysy twarzy miała do ojcowskich niepodobne, ożywione i przyjemne; usta ściałała w różowy, ruchliwy ryjek między fałdkami dowcipnego uśmiechu; a gdy ryjek ruszał się i mówił śpiewnie, oczy dośpiewywały akompaniament, oczy wcale zalotne, otoczone chmurką.

— Już wczoraj widziałam kuzyna, gdy wychodził z księgarni — rzekła rezolutnie, pomijając formułę przedstawienia, i wyciągnęła dłoń do Apolinarego.

Powstał żwawo z krzesła pan Apolinary, przetarł wąsy i ujął w obie dłonie podaną rękę:

— Widziałem, widziałem i ja, ale czyż się mogłem spodziewać, że ta piękna panna jest moją... synowicą?!

— Ona tobie wypada ciotką, Apolinary — odezwał się Hieronim.

— A niech-że cioci dobrodziki rączki ucałuję!

Przystąpił zapalczywie do tego aktu uszanowania, aż Aldona zarumieniła się, cofając bezskutecznie rękę z pobratymczych kleszczów.

Ale odzyskała niebawem swobodną pewność siebie, zwłaszcza w rozmowie z ojcem i z tak zwanym „kuzynem” Apolinarym.

Do Rokszyckiego zwracała się sżywniej, z zaakcentowaną godnością, niby obrażona. Nie było za co: Kazimierz, spotkawszy ją przed godziną na kurytarzu z ojcem, przedstawił się, a teraz wskazał jej uprzejmie drogę do pokoju, gdzie oczekiwała starszyna. Ale panna Budziszówna znajdowała się w tej fazie życia, gdy, przed rzuceniem się w objęcia wybranego mężczyzny, daje się poznać każdemu możliwemu kandydatowi swą wartość i wyjątkowość. Im bardziej Kazimierz był podobny do idealnego wybrańca, tem bardziej Aldona, jedynaczka z zamownego domu, mająca rzekomo wybór w kwiecie młodziaków z nad Wilii, zbroidła się w godność, zamiast we wdzięk. Że jednak wdzięk trzeba było okazać koniecznie temu ładnemu (a zapewne zdradliwemu!) koroniaszowi, Aldona kładła w swe słowa, zwracane do ojca, różne słodkie ponęty, osobą zaś pana Apolinarego zdawała się przejmować sympatycznie. To wszystko, aby dowieść Kazimierzowi, jaką potrafi być — dla innych.

ARTUR CONAN DOYLE:

SREBRNE ZWIERCIADŁO.

Poprosto rękę ludzką, ściśniętą i skreconą z bólu, trzymającą się konwulsyjnie fałd sukni. Reszta postaci, czołgającej się po ziemi, tworzy tylko zarys niewyraźny. Ta tylko jej ręka wypreżona jaśnieje na tle czarnem, pozwalając domyśleć się przez chwyt rozpaczliwy, że rozgrywa się tam tragedia straszna. Człowiek ten musi być przerażony, okropnie przerażony. Widzę to wyraźnie. Co przeraziło go tak bardzo? Dlaczego uchwycił się sukni owej kobiety? Odpowiedzieć na to mogłyby chyba postacie, poruszające się tam, w głębi obrazu. Snadź stanowią niebezpieczeństwo tak dla niej, jak i dla niego. Ogarnęło mnie zaciekawienie. Zapomniałem zupełnie o nerwach i wpatrywałem się, wpatrywałem w obraz, jak w scenę teatralną. Mgła atoli rzedła coraz bardziej, i zwierciadło stało się znów czyste.

Dnia 14 stycznia. Lekarz rozkazał mi dzień odpoczynku. Mogę pozwolić sobie na to, gdyż praca moja posunęła się już dobrze naprzód. Z godzinę spędziłem przed zwierciadłem, ale bez żadnego wyniku. Następnie obejrzałem uważnie ramę przy dobrym świetle i dojrzałem na niej oprócz tajemniczego napisu „Sanc. X. Pal.” jeszcze kilka głosek czy też znaków heraldycznych, słabo widocznych na srebrze. Muszą być bardzo stare, gdyż zatarty się już niemal zupełnie. Zdaniem mojem, są to trzy ostrza strzał: dwa u góry, jedno u dołu.

Dnia 17 stycznia. Przez trzy noce nic mi się nie zdarzyło. Dzień odpoczynku zrobił swoje. Trzy czwarte pracy już skończyłem, ale muszę przysiedzieć fałdów, gdyż prawnicy nalegają o dowody. Otrzymają ich dosyć. Stwierdziłem oszustwa w jakiej setce pozycji. Fałszywe rachunki, fałszywe bilanse, straty zapisane do dochodu, dywidendy, płacone z kapitału, pomijanie kosztów eksploatacji, manipulacje na drobne nawet kwoty — ładna historia!

Dnia 18 stycznia. Ból głowy, drgawki nerwowe, otumanienie, bicie w skroniach, słowem, wszystkie objawy poprzednie. Lecz nie tyle martwi mnie powrót wizji, ile to, że ustana, zanim dowiem się wszystkiego.

Dzisiejszej jednak nocy dowiedziałem się więcej. Człowiek leżący ukazał się tak wyraźnie, jak kobieta, której się uchwycił. Jest to mężczyzna niewielkiego wzrostu, smagły, o czarnej, ostro zakończonych bródce. Ma na sobie kaftan luźny adamaszkowy, przybrany futrem. W stroju jego przeważa barwa czerwona. Jakże okropnie jest przerażony! Zastania się, drży, spogląda przez ramię. W drugiej ręce trzyma sztylet niewielki, ale zanadto przejął go lęk i drżenie, aby użyć broni. Zaczynam też widzieć postacie w głębi obrazu. Twarze groźne, brodate, gniewne wyłaniają się z tumanu. Jeden zwłaszcza z tych ludzi straszny jest, chudy, jak szkielec, o policzkach zapadłych i oczach osadzonych głęboko. On także dzierży sztylet w ręce. Naprawo od kobiety stoi mężczyzna wysoki, bardzo młody, o włosach jasnych i twarzy ponurej. Piękna pani spogląda na niego wzrokiem błagalnym. To samo czyni człowiek, czołgający się po ziemi. Młodzieniec ów zdaje się być sędzią ich losu. Człek skurczony przyczołgał się bliżej i zastania się fałdami spódnicy. Wysoki młodzieniec nachyla się i stara odsunąć ją od niego..

Oto wszystko, co ujrzałem, zanim obraz rozplynęła się w zwierciadle.

To nie wytwór wyobraźni! Jestem tego pewien! Gdzieś, kiedyś scena ta musiała rozegrać się istotnie. Ale gdzie i kiedy?

Dnia 20 stycznia. Praca moja dobiega końca. Czuję natężenie mózgu, wysiłek nieznośny, ostrzegający mnie, że coś musi runąć. Zapracowałem się do granic ostatecznych. Ale noc dzisiejsza będzie już ostatnia. Nie powstanę z krzesła, dopóki nie skończę ostatniej księgi, nie zastawię liczb ostatnich. Muszę to zrobić i zrobić!

Dnia 7 lutego. Zrobiłem! Boże drogi, co za przeżycia! Nie wiem, czy będę posiadał już dość siły, aby zapisać to wszystko.

Przedewszystkiem, niech mi wolno będzie zaznaczyć, że piszę w prywatnej klinice d-ra Sinclaire. W nocy z dnia 20 na 21 stycznia nerwy moje rozprężyły się ostatecznie, i ocuciłem się dopiero w trzy dni później w klinice. Mogę jednak odpoczywać z sumieniem spokojnym, pracę bowiem ukończyłem przed straceniem przytomności. Liczby, zestawione przeze mnie, znajdują się w rękach adwokata. Polowanie skończone.

A teraz opowiem, co widziałem w zwierciadle nocy owej.

Jaśniało ono, jak scena, na której rozgrywa się dramat. Mgły ani śladu. Ucisk nerwów moich wytworzył tę jasność zadziwiającą. Każdy ruch zarysowywał się tak wyraźnie, jak na jawie.

Wysoki młodzieniec trzymał kobietę w ramionach swoich. Opiera się mu, podnosząc do niego wzrok błagalny. Postacie z głębi obrazu odciągnęły człowieka, czołgającego się po ziemi. Było ich dwanaście. Ludzie groźni, brodaci. Otoczyli go kołem i razili sztyletami. Ręce ich podnosiły się i spadały. Z człowieka mordowanego krew nie ciekła, lecz wprost tryaskała. Czerwony kaftan jego był cały nią zboczony. Mordowany rzucał się to w tę, to w ową stronę, purpurą okryty na czerwieni, jak śliwka przedojrzała. A oni uderzali go, uderzali, i strumienie krwi tryaskały z niego. Widok okropny, przerażający! Tak rażąc i kopiąc, posuwali go ku drzwiom. Kobieta spoglądała na rażonego przez ramię, a usta jej chwytały chciwie powietrze. Nie słyszałem nic, ale wiedziałem, że krzyczy. I nagle uczułem, że kręci się cały pokój, że podłoga z pod nóg mi się usuwa... Padłem bez przytomności przed srebrnym zwierciadłem.

Dnia 9 lutego. Dziś dopiero opowiedziałem d-rowi Sinclairowi przejścia nocy owej. Przedtem nie pozwolił mi wspominać o tem. Opowiadania mego słuchał z zacięciem wielkiem.

— Czy nie przypomina pan sobie — rzekł w końcu, spoglądając na mnie podejrzliwie — zdarzenia podobnego, bardzo znanego z dziejów naszych?

Upewniłem go, że dzieje znam bardzo mało.

— I nie wie pan, skąd zwierciadło to pochodzi i do kogo należało?

— Czyżby doktor to wiedział? — zawołałem, widząc, że mówi tak, jakby się tego domyślał.

— Nie do uwierzenia! — szepnął zamyślony — ale jakże inaczej to wytłómaczyć? Sceny, opisane przedtem przez pana, naprowadziły mnie już na to przypuszczenie, obecnie zaś widzę, że cała ta sprawa wykracza poza zwykły zbieg okoliczności. Wieczorem przyniosę panu kilka notatek.

Przybył istotnie, przynosząc kilka tomów zatechłych, które położył na łóżku mojem.

— Przejrzyj je pan — rzekł — gdy zechcesz. Przekonasz się z nich, żeś widział zamordowanie Rizzia przez szlachtę szkocką, w obecności królowej Maryi. Zdarzyło się to w marcu 1556 r. Opis postaci kobiecej, którą pan widział w zwierciadle, jest nadzwyczaj dokładny. To czoło wysokie i powieki ciężkie przy piękności wielkiej trudno zastosować do innej kobiety. Wysoki młodzieniec to małżonek jej, Darnley. Rizzio, jak opiewa kronika ówczesna, miał w dniu tym na sobie kaftan luźny z adamaszku, podbitego futrem, i spodnie obciste z aksamitu ciemno-czerwonego. Ów mąż zaś chudy o policzkach zapadłych to Ruthven, który właśnie był powstał z łoża choro-

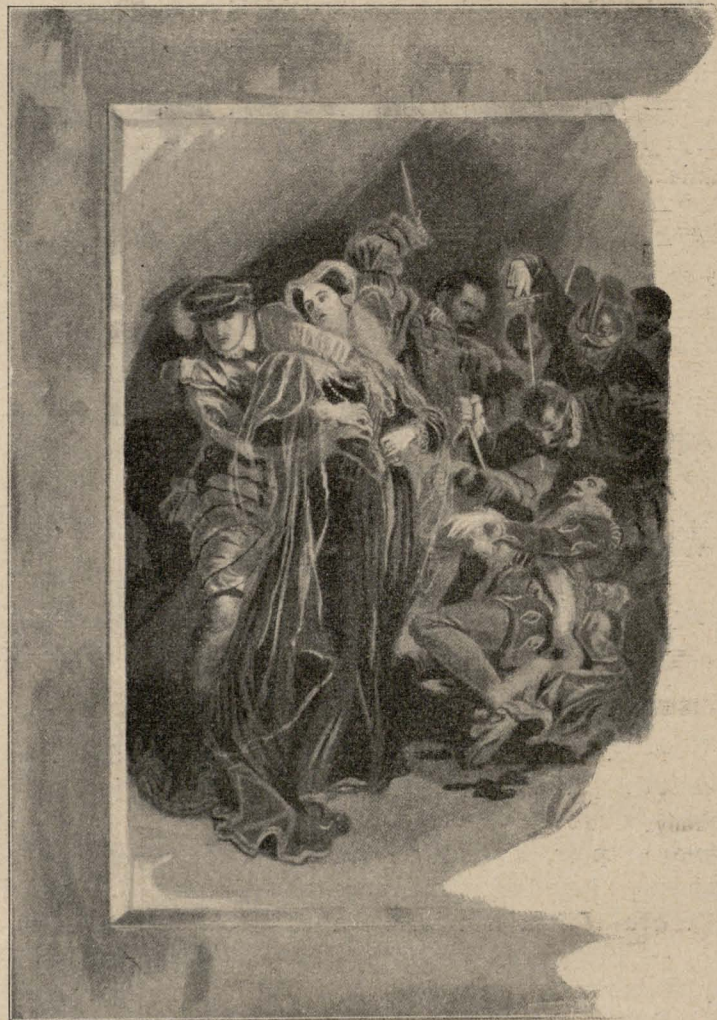
by. Słowem, każdy szczegół dramatu, widzianego przez pana, jest prawdziwy.

— Dlaczego — zawołałem oszołomiony — ja jeden z pośród ludzi wszystkich!

— Ponieważ znajdował się pan w nastroju odpowiednim do odebrania wrażenia. Ponieważ zdarzyło się tak, że właśnie do pana należy zwierciadło, które nastreczyło panu to wrażenie.

— Zwierciadło? Więc doktor sądzi, że jest to zwierciadło królowej Maryi? Ze stało w pokoju, w którym dokonano morderstwa?

— Przeświadczony jestem, że należało do Maryi. Zasiadała ona też na tronie francuskim. Własność jej zatem musiała być oznaczona herbami królewskimi. To, coś pan wziął za trzy



— Postacie z głębi obrazu odciągnęły człowieka, czołgającego się po ziemi.

ostrza strzał, jest właściwie herbem francuskim, przedstawiającym trzy lilie.

— A napis: „Sanc. X. Pal.”?

— Napis ten znaczy: „*Sanctae Crucis Palatium*”. Ktoś zaznaczył na ramie zwierciadła, skąd ono pochodzi, a mianowicie z pałacu św. Krzyża.

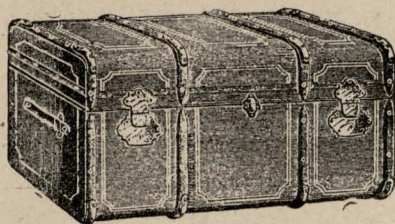
— Holyrood! — zawołałem.

— Tak właśnie. Zwierciadło pańskie pochodzi z Holyrood. Miałeś pan zdarzenie dziwne i wyszedłeś z niego cało. Spodziewam się, że nie narazisz się już nigdy na coś podobnego.

Przeł. S. BARSZCZEWSKI.

**Szanownych prenumerato-
rów „Tygodnika Ilustro-
wanego“ prosimy o wnie-
sienie opłaty na rok
bieżący.**

NADESŁANE.



Zdzisław Zdanowicz

Kraków, ul. Sławkowska 3,
poleca w wielkim wyborze
Kufry, Necessery, Plaidy.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 12

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.

**NADZWYCZAJNE
PREMIUM**

Tygodnika Ilustrowanego

Dla uprzyętnienia najszerzym warstwom nabycia szeregu dzieł wartościowych, pióra pierwszorzędnych pisarzy polskich i obcych, postanowiliśmy zniżyć cenę

**12 tomów cennych
i zajmujących**

powieści, nowel, poezji i dramatów tak, aby nabycie ich było możliwe dla wszystkich.

Jakoż oznaczamy cenę tę na RUBLI 2, czyli za ledwie **po złotówce za duży tom**, zawierający od 200—400 str. ścisłego druku.

Na premium nadzwyczajne przeznaczylismy książki następujące:

- K. Laskowski:** „Melodye“, poezye.
- T. Jaroszyński:** „Miasto“, powieść współczesna.
- J. Słowacki:** „Zawisza Czarny“, dramat.
- A. Gruszecki:** „Zwycięzcy“, powieść współczesna.
- A. Krechowicki:** „Mrok“, powieść historyczna.
- M. Gorkij:** „Dzieci słońca“, dramat.
- T. J. Choiński:** „Różycy“, powieść z dziejów poznańskiego.
- K. Gliński:** „Boruta“, powieść historyczna.
- F. Brodowski:** „Chwile“, opowiadania, nastroje, nowele.
- Konar:** „Panny“, powieść współczesna.
- Z. Sarnecki:** „Szkłana góra“, baśń sceniczna.
- F. Morzycka:** „Powrotne fale“, nowele.

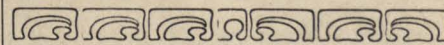
Nazwiska wymienione mówią same za siebie, reklamować ich nie trzeba; jest to naprawdę jedyna sposobność wzbogacenia biblioteki domowej za bajecznie niską cenę. (Przesyłka 12 tomów rub. 1).

Uzyskaliśmy też dla prenumeratorów *Tygodnika* znaczne zniżenie ceny wspaniałego, pomnikowego wydawnictwa:

**MALARSTWO POLSKIE
W REPRODUKCYCH BARWNYCH**
S. KULIKOWSKIEGO,

a mianowicie: **zamiast 9 rubli za 6 zeszytów, prenumeratorzy nasi płacić będą TYLKO RUBLI 6, z przesyłką rubli 7 kop. 50.**

Wydawnictwo to powinno się znaleźć w każdym domu polskim.



KRAK. PRZEDM. 55.
TELEF. 404.



YRARDOWSKI

PŁÓTNA,
BIELIZNA STOŁOWA,
BIELIZNA DAMSKA I MĘSKA,
TRYKOTAŻE, KOŁDRY, FIRANKI.

NAJWIĘKSZY SKŁAD WYROBÓW BIAŁYCH

WŁASNE PRACOWNIE BIELIZNY—BLUZEK
SZLAFROKÓW—KOŁDER.

CAŁKOWITE
WYPRAWY DAMSKIE, POCZĄWSZY OD
RUB. 100. WYSYŁKA PRÓB I KATALO-
GÓW BEZPŁATNIE.

FIŃAŁ POJEDYNKU.

Doktor (oglądając rannego).—Cztery rany... jedna śmiertelna, lecz, na szczęście, pozostałe trzy nie zagrażają życiu.
Satirikon.



POMIĘDZY AKTORAMI.

— Zawsze sumiennie grałem każdą rolę... Jeżeli potrzeba było grać tądaka, stawałem się nim wistocie! Wątpisz?..
— W to, nigdy!
Fliegende Blätter.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,
Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9
pośredniczą
w prenumeracie pism
krajowych i zagranicznych
po cenach redakcyjnych.

Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele**
Browaru
poleca **PIWO PILZEŃSKIE.**

Wyprzedajemy z dawnych zapasów
5,000 gąsiork. wina węg.
wytrawnego, średniego lub słodkiego
po wyjąkowej cenie rub. 1 kop. 20.
Dostawa 15 gąsiorków franko.
Skład Win i Koniaku
Braci KEMPNERÓW
Długa Nr 5. Telefonu Nr 772.



**MASZyny DO SZycIA
KOMPANJI SINGER**

SPRZEDAJĄ SIĘ
WYŁĄCZNIE W SKLEPACH WŁASNYCH KOMPANJI

WYPŁATA RATAMI
OD
1
RUB. TYG.

MASZyny
RĘCZNE
OD **25** R.

WYSTRZEGAĆ SIĘ
NAŚLADOWICTW.

SKLEPY WE WSZYSTKICH
MIASTACH KRÓLESTWA.

ZNAK SKLEPOWY.

W. CYBULSKI i S-ka Telefon 60-29
Warszawa, Nowo-Senatorska 7.
Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

Nagrodz. złotym medalem na wyst. przemysł.-zdrojowej w Ciechocinku **Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzciniowych T. & W. Krakowscy** Kantor: Warszawa, Nowogrodzka 36. Tel. 36.83.

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19 dom własny



Bracia Osinscy

Warszawa, Nlecała Nr 2 (róg wierzbowej)

Główny skład Kryształów czeskich fabryki Hr. Harracha „Nowy-Svet” (Czechy)

z kryształów, porcelany, terrakoty i majoliki, niebywały wybór serwisów stołowych, porcelanowych, krajow., czeskich i francuskich „Lmoges”

Ceny fabryczne.
polecają wielki wybór
OSTATNIICH NOWOŚCI
„Lmoges”

L. Lipiński (Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12.) Wielki wybór brylantów, kolorowych kamieni i pereł oraz biżuterii złotej i sre-
(WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie,) brnej w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875.

KSIEGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36,
przeszła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

piękne artystyczne teczki

do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego

po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza

po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

**LUDWIK SZUFA
KRAWIEC**
KRAKOW TELEFON 671

**JULIUSZ SŁOWACKI
PISMA**

wydane za życia i po śmierci
autora,
w układzie Artura Górskiego

6 tomów (przeszło 3 500 stron druku)
rub. 6, w opr. rub. 8.

Ukażą się w początku Grudnia r. b.
Nakład G. GEBETHNERA i S-ki
w Krakowie.

MIŁUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
Okulary i Binokle z najlepszymi
szkłami, wzrok wzmacniającymi po
rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych,
Oliwa usuwająca szum uszny flakon
rb. 1.50, **Bandaż elektryczny**
usuwa rupturę, nie krępuje ruchów
od rb. 6, **Przepaski higieniczne**
Venus, Diana i poduszeczki dla dam
od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań
i panów w **dobrym gatunku**. Cen-
nik specjalny bezpłatnie, wyłącznie
w **zakładzie Michała Pik, War-
szawa, ulica Miodowa Nr 1.**



*P. Mieczysławowi Sorokowskiemu
w Ekaterynostawiu.* Artykuł Pański
o zajęciu w bibliotece polskiej w Eka-
teryństawiu ma charakter zbyt osobi-
sty, byśmy mogli z niego bezpośred-
nio skorzystać, chociaż współczujemy
serdecznie instytucji polskiej na ob-
czyźnie, której wyrządzono tak wielką
krzywdę.

P. Feliksowi Gemb. Wiersz Pański
„Z ulicy” tchnie szlachetnością uczuć
i myśli, ale pod względem literackim
nie stoi na wysokości naszych wy-
magań.

P. Trzebuch. Z wiersza do Konop-
nickiej nie skorzystamy z powodu nie
dość wyrobionej formy.

P. O. K. Kraków. Melancholia je-
sienna spoczęła—w koszu. Co to zna-
czy: „oczy pieszczą się w śniących łez
koralach (!)”? albo: „a szmer płomienny
lotnych duszy tchnie wlecze za
sobą moich tęsknić pleśni (!)”?

Jelita. Treść—banalna forma—zma-
nierzowana. Dusza Sz. P. pragnie wzo-
tów, ale... skrzydełek brak. „Fantazyja”
to orgia wielokropków i wykrzykników,
nic więcej!

P. Henrykowi Nowack. w Sando-
mierzu. To nie wiersze, ale mozolne
rymowanie bez żadnego polotu, zdra-
dzające brak elementarnych wiadomo-
ści prozody: *widoku—człowieku* np.,
lub *szkieletów—błkitów* to nie rymy.
Lepiej dać pokój podobnej „twórczo-
ści”!

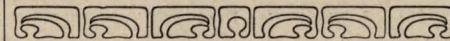
P. Paulinie Wrz... w Daszewie.
Z fantazyji p. t. „Duch czysty” nie sko-
rzystamy.

Dr. I. Wapiński ord. klin. szpital:
świętego Łazarza
Nowosenatorska 10. Telefon 942. Choroby
skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprze-
daż obrazów najznakomitszych artystów
polskich. Salon otwarty codziennie od 10
do 1 i od 2 do 5.



ODPOWIEDZI.

A. E. Wiersze: „W wizjach”, „Tęsk-
nota”, „Tragedya bytu” nie mają żad-
nych znamion talentu; to nie poezya,
tylko rymy—i to niedołążne, kulawe.

P. Juliusz. Petremu. Pisze Sz. Pan
w jednym ze swoich wierszy: „Porwę
bogom szczęście lub... odejdę z ni-
czem”. Niestety! narazie przynajmniej
—to drugie. Styl i forma wiersza bar-
dzo jeszcze nie wyrobione, przytem pi-
sze się „struny”, nie „stróny”. Przed-
wczesnie więc jeszcze nazywa Pan sie-
bie poetą. Czy nim Pan kiedy będzie,
trudno przewidzieć.

Autorowi czy autorce wiersza „Z nad
morza”. Nie wydrukujemy.

PASTILLES

DE

**TAMAR
INDIEN
GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający
PRZECIWO

OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudeł-
kach po 12-cie pastylek
i pół-pudełkach po 6 pa-
stylek z podpisem



L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albu-
my, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

Nagrodzone złotymi medalami, a zalecane przez pp. doktorów i lekarzy-dentystów,
eliksir, proszek i pastę

TYMENTOL

jako najlepsze środki do czyszczenia i konserwowania zębów, oraz odświeżania jamy ustnej, poleca
Centralne Laboratorium Chemiczne (Czekaj i Kryszewicz) w Warszawie. Sprzedaż w składach aptecznych.

Rynek głów. Ilnia 4B róg ul. Floryańskiej
KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

PLYN
Cena flak.
rub. 1. **HEMOGEN MAGISTRA KLAVE**

najracjonalniejszy preparat żelaza.

stosowany przy ogólnem osłabie- Uznany przez powagi lekarskie, ja- Wyrób laboratorium apteki
niu, małokrwistości, osł. nerwów ko **dzielny środek krwiotwór- Magistra Klawe, Warszawa,**
i u rekonwalescent. każdego wieku. **czy i pobudzający apetyt.** 10 Pl. Św. Aleksandra.

Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ **BRONZY SALONOWE** MAGAZYN **KRAKOWSKIE** Nr 15 Tel. 21.90
I KOŚCIELNE PRZEDMIEŚCIE

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

z Poznania. — Atelier reparacyjne
WIERZBOWA № 6 (Hotel Angielski)

Józef SUPPERT

Biżuterję poleca

oraz
w stylach nowo-
czesnych,

Zegarki, Zegarki

